

do użytku wewnętrznego



praca

rok 3

nr 5 (15)

1988

ANDRZEJ URBAŃSKI

SIERPIEŃ po Sierpniu

Myślę, że u końca obecnego lata warto dokonać pewnego uporządkowania polskiej sytuacji, nawet jeżeli będzie ono dalekie od syntezy i od pełnego odzwierciedlenia wszelkich istniejących skomplikowań. Uporządkowanie to jest zadaniem dla strony społecznej, dla opozycji, która będzie musiała zrezygnować z łatwej roli bohatera, poprzestającego na wygłaszaniu wzniosłych przemówień, gdyż zła władza na nic mu nie pozwała. Władza, której represyjność jest znacznie stonowana, ogłasza bowiem coraz częściej, że jej wolą jest *częściowo pozwaład*... W tej sytuacji sensowność dalszych przemian w Polsce przede wszystkim zależy od sensowności poczynań samej opozycji, od sformułowania i upublicznienia klarownej i politycznej realnej wizji nowego stosunku opozycji do państwa - jakim ono jest i jakim być powinno. Chcę więc podjąć próbę zrozumienia tego procesu odradzania się społecznej dynamiki, który sygnalizowały strajki majowe, a wzmocniły strajki sierpniowe. Ujawniły one nie tylko pokłady społecznego żywego dziania się, ale o przesłanki odradzania się publicznej sceny debaty nad stanem państwa. Tej sceny, którą tak skutecznie zniszczyło wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981 roku.

Współbieżnie z majowymi strajkami wysunięta została przez opozycję koncepcja paktu antykryzysowego. Tym razem jednak, inaczej niż w wypadku poprzednich prób sformułowania zasad nowego porozumienia, władza odpowiedziała gotowością do podjęcia rozmów. Oto więc po raz pierwszy od siedmiu lat powróciła szansa uzgodnienia w Polsce nowego kompromisu. Szansa być może tylko teoretyczna, ale w polityce koncepcje często mają się równoważyć społecznym buntom.

Co kompromis oznacza dla władzy? Myślę, że możliwe są co najmniej dwie odpowiedzi. Historyczna, odwołująca się do znanych już praktyk zawierania i nie dotrzymywania umów przez realosocjalistyczną władzę, nie napawa optymizmem. Warto jednak zauważyć, że przykłady zrywania kompromisów odnosiły się przede wszystkim do władzy totalitarnej, która - jak twierdzi Alain Besancon w *Anatomii władzy* - zawsze zawiera kompromisy *niestabilne*. Nie idzie bowiem o układanie się z rzeczywistością. Przeciwnie: dąży się do kompromisu właśnie dlatego, że pogodzić się z rzeczywistością nie wolno i tylko o tyle, o ile kompromis jest użyteczny z punktu widzenia przyszłego zniszczenia skapitalizmu. Tak sądząc Besancon proponuje, by nie analizować zasięgu ustępstw na rzecz porządku niesocjalistycznego, lecz by pytać, czy umowa zawierana jest w celu zachowania władzy komunistycznej, czy też nie. W tym miejscu pojawia się możliwość odpowiedzi drugiej, pragmatycznej. Odpowiedzi na pytanie: co się dzieje, kiedy realosocjalistyczna władza musi zawrzeć kompromis, którego efektem będzie podzielenie się samą władzą? Podzielenie się władzą czyli rezygnacja z utrzymania jednego z trzech podstawowych dla totalitaryzmu monopolii: produkcji i dystrybucji, władzy i administracji, siły - policji i wojska.

W odpowiedzi na to pytanie historia nie udzielił nam pomocy. Nie udzielił, gdyż od czasu powstania państw totalitarnych władza tego typu nie miała z kim zawierać takiego kompromisu. Totalitaryzmu wykazywał jak dotychczas swoją sprawność przede wszystkim w skutecznym eliminowaniu politycznej opozycji i jej bazy społecznej. Nowa jakoś w polskiej sytuacji to właśnie pojawienie się elementów niezależnej siły społecznej. Siłę tę można blokować, unieruchamiać jej dynamikę, ale nie można jej już zlikwidować na wzór rewolucyjny. Co więcej, siła ta jest tylko jednym z elementów sytuacji, w której realosocjalistyczna władza coraz szybciej zbliża się do krytycznego momentu wybuchu ogólnospołecznego

cd. na s. 3

"Wiadomo jest wszystkim na świecie, że praca odnosi się swoją dzielnością i obfitością do miary wolności, tam gdzie więcej wolności tam i pracy więcej, i o ile wolniejszym społeczeństwem, o tyle dzielniejszą jest i praca"

C.K. Nowak

w numerze m.in.:

- J. RASZEWSKI, IDZIE O ŻYCIE
- W. BORODZIEJ, PSL WOBEC ZSRR
- T. BURSki, "JESLI NIE MY - TO KTO?"
- H. LITWIN, KOŚCIEŁ GRECKOKATOLICKI W DZIEJACH POLSKI
- Ks. J. MAJKA, PRAWA OSOBY PRZECIW PRAWOM CZŁOWIEKA
- ORŁOW, ŚMIERĆ GORKIEGO
- O. ST. CZERNIK, LWOWSKI LISTOPAD
- A. ZINOWIEW, DLACZEGO JESTEŚMY NIEWOLNIKAMI

Alfabet według Kisiela

OD WYDAWCÓW

Tekst ten Stefan Kisielewski rozpoczyna od zdania: "Proszono mnie, żeby się wypowiedzieć o różnych ludziach..." Ponieważ to ja właściwie zaurcałem Kisielewskiego głowę, powinienem i Czytelnikom wyjaśnić okoliczności powstania tej książeczki.

Jakimś czasem temu reżyser Marian Terlecki wpadł na pomysł zrobienia filmu o Kisielu i zaprosił mnie do współpracy. Już w czasie kręcenia zdjęć okazało się - co zresztą zupełnie oczywiste - iż główny bohater wplata we własną biografie niezliczone anegdotki i wspomnienia dotyczące ludzi, z którymi miał do czynienia w najrozmaitszych okolicznościach. Opowieści te rozsadzały wprawdzie zaplanowane ramy filmu, ale były tak smakowite, że dla ich ocalenia postanowiliśmy zrobić, niejako z marszu, kolejny film. Zasiadłem więc przy Kisielowym stole, rozmiarami przypominającym boisko do szczypiorniaka, i nabazgrałem na kartce ponad sto nazwisk. Czujne pióro gospodarza skreśliło z tej prowizorycznej listy paru delikwentów /"zgadnij Koteczku - kogo wianowicie?"/, lecz w zamian dopisało kilkunastu innych godnych uwiecznienia. Po czym Rochefort polskiej felietonistyki wziął mikrofon do ręki i na godzinę zamienił się w gadającą głowę. Jeszcze później udało mi się namówić Kisielewskiego na dołączenie do tego spisu dalszych sylwetek.

cd. na s. 3

HENRYK LITWIN

KOŚCIÓŁ GRECKOKATOLICKI W DZIEJACH POLSKI

FAKTY I OPINIE

Rok 1054 jest jedną z najważniejszych dat w dziejach chrześcijaństwa. Lokalny spór między patriarchą konstantynopolskim a legatami papieskimi doprowadził wówczas do obustronnego wyłączenia się przeciwników i w konsekwenji do trwałego rozdania Kościołów zachodniego i wschodniego. Tworzące się już wówczas, a nie odrębności politycznych i kulturowych, różnice między chrześcijaństwem greckim i rzymskim pogłębiły się i utrwaliły przez wieki odłączenia. Jedyną istotną różnicą doktrynalną pozostało jednak odrzucenie przez prawosławie nauki o pochodzeniu Ducha Świętego zarazem od Ojca i Syna ("Filioque" w katolickim wyznaniu wiary). Kościół wschodni nie uznawał też Chrystusowego namieszania św. Piotra, a w konsekwenji prymatu papieża. Powstały również różnice liturgii — komunia pod dwiema postaciami i użycie chleba kwaśnego w miejsce opłatki, stosowanie już w średniowieczu języków narodowych, odrębności w sposobie celebrowania Mszy św., a co za tym idzie inne rozplanowanie i wyposażenie świątyni. "Grecy" odrzucili też celibat duchowieństwa diocesanego, sobowlażując doń jedynie biskupów i kler zakonny. Papiestwo nigdy jednak nie poruczyło nigdy o ponownym zjednoczeniu. W średnio-

wieczu szczególnie intensywnie były jego kontakty z Cerkwią ruską. Ponawiano też próby mediacji cesarstwem konstantynopolskim i tamtejszym patriarchą. Spotykały się one z pozytywnym odzewem dopiero w XV wieku, wobec zagrożenia Blansjum przez Turków, gdy pomoc Zachodu stała się niezbędna. W roku 1459, na soborze we Florencji, przeprowadzono formalne zjednoczenie Kościołów (tzw. unia florencka). Prawosławni wprowadzili "Filioque" do wyznania wiary i uznali prymat papieża, ponastali natomiast przy swych odrębnościach liturgicznych i organizacyjnych. Ustalenia te stały się wzorem dla wszystkich późniejszych przedsięwzięć unijnych, podejmowanych po ponownym, rychłym rozbiegu jedności w wyniku upadku Konstantynopola i zajęcia go przez Turków (1453).

Państwo polskie zetknęło się z problemem nieodżałowanego i ludnością prawosławną po przyłączeniu Rusi Halickiej przez Kazimierza Wielkiego w latach 1340-1366. Po unii z Litwą, zamieszkałą w większości przez wyznawców Kościoła wschodniego — Rusinów, kwestia ta stała się jedną z pierwszoplanowych w polityce wewnętrznej Jagiellonów. W XV w. "blachocestywa" szlachta uzyskała

gwarancje całkowitego równoprawienia, a Cerkiew ruska — swobodę działania. Próby wprowadzenia w życie zasad unii florenckiej spotkały się w krajach jagiellońskich ze stosunkowo słabym odzewem. Jej funkcjonowanie w Polsce i na Litwie ograniczyło się do uznania posłuszeństwa papieskiego przez kilku władcy. Nawet te płytkie kontakty zostały serwowane a końcem XV wieku, a jedynym trwałym dorobkiem tej współpracy było powstanie polsko-litewskiej, odrębnej od moskiewskiej, metropolii kijowskiej, którą skonstytuował papież Pius II w roku 1458. Akcją unijną wawolono pod koniec XVI wieku. Stała się ona wtedy pierwszym poważnym problemem państwowym i zapoczątkowała nieprzerwanie już funkcjonowanie Kościoła wschodniego-ajednoczonego na ślepiach polskich.

Publikowany niniejszy artykuł otwiera minicykl poświęcony smiekanym działom unii wrośniętym w naszą historię. Dotyczy on wieku XVII — epoki sporów, triumfów i porażek, gdy los greckokatolicyzmu najściślej bodaj opisał się z losami państwa. Kolejne artykuły obejmują: drugi — wiek XVIII i XIX; trzeci — historię Cerkwi ajednoczonej w II Rzeczypospolitej, w czasie II wojny światowej i w PRL.

UNIA W WALCE Z PRAWOSŁAWIEM

WIEK XVII

W drugiej połowie XVI wieku odrodzony po Soborze Trydenckim Kościół katolicki powrócił do zarszucionej niedługo unii z prawosławiem. Powstał program zjednoczenia z Rzymem Cerkwi wschodniej w państwie moskiewskim. Okazało się to jednak nierealne. Podstawę gruntu dla takich zamysłów stanowiła Rzeczpospolita i na niej skupiły się negocjacje wyłki papieństwa. Od 1600 roku Litwa i Korona stanowiły już jeden organizm państwowy. Trwał kryzys "blachocestwa", spowodowany kulturalnym upadkiem kleru, rozpręgnięciem administracji kościelnej i Benzymi odstępstwami szlachty ruskiej na rzecz katolicyzmu (na Rusi Czerwoniej) i reformacji (na Litwie i Wołyniu). W 1600 roku prawosławny hierarcha moskiewski został wyniesiony do tytułu patriarchy, co stanowiło odciążenie stałe zagrożenie hierarchii metropolii kijowskiej. Sytuacja sprzyjała więc akcji zjednoczeniowej.

W latach 80. i 90. XVI stulecia wśród wyznawców "wiary greckiej" pojawiły się tendencje reformatorskie. Rozdzieliły się one na dwa nurty. Hierarchia cerkiewna skłaniała się zaczęła do unii z Rzymem, licząc na przeprowadzenie odnowy w oparciu o aly Kościoła katolickiego. Znaczna część szlachty i mieszczaństwa rozpoczęła natomiast prace nad odrodzeniem intelektualnym i organizacyjnym "blachocestwa" własnymi siłami. Zaktywizowały się miejscowe (ale skupiające również szlachtę) bractwa cerkiewne, powstały nowe szkoły. W związku z tym trwające od 1600 roku rokowania hierarchów prawosławnych z przedstawicielami Rzymu zostały potępione przez znaczną część społeczeństwa ruskiego. Mimo to doprowadzono je do końca. Synod brzeski w

1606 roku podjął decyzję o unii na warunkach powtarzających zasady unii florenckiej. Dwoj jego wysłańcy — Oryl Terlecki, władysław łucki i Hipacy Poćki, władysław włodzimierski — dopełnili aktu zjednoczenia w Rzymie (23 XII 1606). Oficjalne ogłoszenie unii odbyło się 19 IX 1606 roku na kolejnym synodzie w Brześciu.

Zjednoczenie jednak odbywał się zjazd przeciwników podporządkowania się Rzymowi, wśród których znaleźli się dwaj władcy — przemyski, Michał Kopystenski i lwowski, Gedeon Balaban — skłócał a pozostałymi hierarchami. Ofiaw. dysydanci oprotostowali uchwały synodu brzeskiego i uznali biskupów unickich za pozbawionych sakry. To samo uczyniła strona przeciwna, która poparł król. Zygmunt III, jako monarcha, był zarazem dysponentem nominacji i uposażeń Kościoła wschodniego w Rzeczypospolitej. Uszanując za prawosławnych władcy jedynie uników, pozbawił tym samym ich opozentów tytułu prawnego do kierowania dobru i sprawowania urzędów cerkiewnych. Nie sakwalonowano prawosławnym swobody wyznania, ale uniemożliwiono normalne funkcjonowanie ich Kościoła. Mimo to dwóch biskupów, znaczna część kleru diecezjalnego i laickiego, większość szlachty ruskiej i niemal całe mieszczaństwo pozostały wierne "blachocestwu". Rozpoczęła się walka o przywrócenie warunków do swobodnego działania dyfunkcyjnej organizacji cerkiewnej.

Od 1608 roku dążyli unii w Rzeczypospolitej na niejako luźnym odwróceniem kowd prawosławia. Sukcesy wyznawców "wiary ruskiej" to zjednoczenie porażki greckokatolickiej

sznu. Przez długie lata XVII wieku to pierwsze wysiłki dysponentów daleko szerzonym społeczeństwu, także wśród szlachty. Skutkiem tego była powołana restrykcja politycznej dysunii. Już w 1607 roku Sejm zagwarantował prawosławnym całkowitą wolność wyznania i praktyk religijnych oraz zapowiedział przywrócenie im władcy i uposażeń. Wprowadzenie w życie tej ostatniej obietnicy było jednak systematycznie odwickane przez Zygmunta III. Zrealizował ją dopiero Władysław IV, co zatwierdził Sejm w roku 1636. Na mocy tego aktu dokonano podziału katedr biskupów, uposażeń i klasztorów między uników i dysydantów, i uznano obie hierarchie za równoprawne. Mimo to spory trwały nadal.

W latach 1606-1638 miało miejsce wiele konfliktów między wyznawcami greckokatolicyzmu i prawosławia. Z obu stron dochodziło do gwałtów, a nawet zabójstw. Ukłki cierały się co prawda poparciem króla, ale było ono niemal wyłącznie formalne. O wynikach poszczególnych sporów decydowała faktyczna przewaga dysydantów bądź ich przeciwników na danym terenie. Istotną przeszkodą miała polityka katolików, którzy często popierali interesy "cerkwi ajednoczonej", a hotel wyznawców "wiary ruskiej" wspomagali dysydanci. W efekcie dysydanci mieli przewagę na Kijowszczyźnie i Bracławsczczyźnie, na Wołyniu i Rusi Czerwoniej siły były wyrównane, zaś na Obchmasczczyźnie i białoruskich terenach Wielkiego Księstwa Litewskiego unia robiła postępy. Dla tych ostatnich terytoriów wielkie znaczenie miała działalność i miejscowa śmierć arcybiskupa polskiego Józefa Kuncewicza, najgłośniejszego i najpopularniejszego wśród unickich władcy.

cd. na s. 31

"PRACA": Biuletyn Duszpasterstwa Ludzi Pracy Warszawa, Kościół św. Klemensa, ul. Karolkowa 40, tel. 32-00-43, waw. 64. Biżur redakcyjny: środa, 16.00 - 17.30.

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej Urbański, Zespół: Michał Boni, Grzegorz Godlewski, Przemysław Hniedziewicz, Robert Kalina, Paweł Kastory, Teodor Klinczewicz, Andrzej Kostarczyk, Ireneusz Krzeminski, Jarosław Kulikowski, Tomasz Lia, Marcin Oblicki, Maciej Radziwiłł, Tadeusz Sobolewski, Marzena Szpakowska, Stanisław Turnau, Piotr Wróbel, Maciej Żalowski, Aleksandra Zawłocka, Tomasz Zyro.

niezadowolonia. Po 40 latach istnienia PRL okazało się bowiem, że w budująca realny socjalizm państwie gros rzeczywistości jest niesocjalistyczna: produkcja nie zgadza się z Planem, ludzie odrzucają ideologię, młodzież opuszcza w pomieszczeniu tomogę okręt z czerwona i biało-czerwona banderą. Majowe strajki ujawniły, że są w łonie władzy ekipy rozumiejące logikę tej sytuacji. I dlatego właśnie, jak sądzi, pozytywnie zareagowano na propozycję paktu antykrzyzysowego. Władza poczęła poszukiwać sposobów z a b u d o w a n i a społecznej przestrzeni przyszłego wybuchu. Zadeklarowano wolę zmiany ustawy o stowarzyszeniu się, zaczęto kokietować opozycję miejscami w PRL-owskim Sejmie. Słowo kompromis znów stało się modne.

Propozycje formułowane przez władzę zalerzały w pierwszym rzędzie do uwikłania opozycyjnych elit w instytucje systemu z jednoczesnym pozabawieniem ich społecznego zaplecza. Gdyby projekt ten udał się zrealizować, przyszedł bunt społeczny uderzyłby w opozycję i władzę jednocześnie. Społeczeństwo wyderowane z elit odegrałoby znany już z 1956, 1970 i 1976 roku scenariusz buntu bez politycznego horyzontu spełnienia. Wiosną modną stała się teoria profesora Gulczyńskiego - liberała władzy - o społeczeństwie dzielącym się na zwolenników reform/opozycyjnych i rządowych/orax na rebeliantów. Rebelianci mieli być blokowani siłami policyjnymi, a opozycyjni realisci - wamieni udziałem w fasadowych instytucjach władzy. Rządowi liberałowie obiecywali ekonomiczną reformę i powolną, ostrożną przemianę państwa od góry. W obu tych propozycjach społeczeństwo tak naprawdę miało pozostać biernym wykonawcą poleceń i obserwatorem skutków ich wykonania. Mówiąc metaforycznie, fala strajków sierpniowych była społeczną odpowiedzią na te plany.

Sierpień '88 wyzwolił w siłach opozycji nową aktywność, natchnął działaczy nadzieją i jak gdyby po raz kolejny przybliżył czasowy horyzont politycznego spełnienia. Sytuacja patowa, tworząca od 13 grudnia 1981 r. generalną ramę wszelkich zachowań politycznych, uległa przemianie. Prywatny obywatel stał się na powrót postacią publiczną, zaś wielki ruch społeczny - który spacyfikowano siłą - nieformalnie, lecz faktycznie uznany został za politycznego partnera negocjacji.

Przemiana ta, dobrze dostrzegalna na poziomie propagandowych zachowań władzy, wydaje mi się mniej istotna, niż jednoczesne ujawnienie się po stronie opozycji odmiennej koncepcji kształtowania obecnej sytuacji. Strajki oraz propozycja okrągłego stołu skonsolidowały na zewnątrz opozycyjne środowiska, czego wyrazem stały się kolejne oświadczenia popierające Lecha Wałęsę i postulat relegalizacji NSZZ *Solidarność*. Obok tych wypowiedzi poczęły ujawniać się jednak sprzeczne częstokroć oczekiwania co do możliwości i szans na pozytywne efekty rozpoczętych negocjacji.

Generalnie rzecz biorąc, ujawniły się dwie opozycyjne wizje polityczne. Pierwszą z nich nazwałbym opcją statyczną. Wychodzi ona z takiego oto założenia: *Solidarność* uprawdnie jest siłą potencjalną, z trudną instrumentalizującą się w działaniach politycznych, ale - mimo tej potencjalności - w chwili rozpoczęcia kolejnego masowego procesu będzie to siła determinująca przemianę w Polsce. Proces taki z nieubłaganą logiką odwróczy sytuację roku 1981, kiedy to naprzeciw siebie stanęły dwie siły polityczne: władza zbrojna w instytucjach i organizacje państwa oraz społeczeństwo tworzące *Solidarność*. Logika dwóch biegunów w warunkach stopniowej całkowitej degradacji państwa, z jaką samy do ozyńienia, nasuwa najgorzej rodzaju historyczne analogie. Powtórne autentyczne podzielenie społeczeństwa polskiego doprowadzić może do skutków dramatycznych i trwałych. Sądzę, że świadomość odpowiedzialności za niedoprowadzenie do takiej sytuacji dominuje w opozycyjnym myśleniu. Jest to tym bardziej widoczne, im silniej zwolennicy autonomii społeczeństwa wobec państwa zdają sobie sprawę, że koszty wszelkich obecnie zawieranych kompromisów w szerokim stopniu dotkną sałe społeczeństwo. Na inauguracyjnym posiedzeniu Klubu im. Jana Strzeleckiego mówił o tym Jacek Kuroń, pokazując, na jakie trudności narażona byłaby *Solidarność* podpisująca się - w zamian za zgodę na częściową relegalizację na poziomie zakładowym - pod planem rynkowej reformy gospodarki. Takich pułapek jest o wiele więcej - są one nieodłączne od opozycyjnego projektu odbudowywania społecznej podmiotowości poza państwem. Opcja statyczna ma więc gwarantować władzy realizm odrodzonej *Solidarności*, zaś społeczeństwu sukces na pierwszym stopniu ogólnych reform. Opcja ta nie rozwiązuje moim zdaniem pewnej sprzeczności, która wystąpiła już w czasie 16 miesięcy legalnego działania związku. Pisał o tym Władysław Bieńkowski: *Sprzeczność zasadnicza polega na tym, że «Solidarność» miała siłę społeczną, a ustrój mógł zmienić tylko władza, bo ona miała w ręku wszystkie sprężyny. Reforma systemu pod zorganizowanymi naciskami wymagała współpracy z władzą, przy ścisłym wypełnianiu przez tę władzę zrobić nie chciała, a «Solidarność» nie mogła. Było to niekompatybilne dla obu stron. Trzeba więc było ustalić jedno - w jakich formach «Solidarność» będzie z władzą współdziałała. Jak wiadomo, tak się jednak nie stało i zbytnim optymizmem byłoby sądzić, że «Solidarność» odradza się na dawnych zasadach łatwo zgodzi się na współdziałanie z komunistyczną władzą.*

Wizja druga również wyłania się z analogicznej niezgody na powtórzenie się logiki roku 1981. Posługuje się jednak inną interpretacją obecnej sytuacji i wierzy w inny horyzont politycznego spełnienia. Sierpniowe strajki 1988 roku w zgodnej ocenie uczestników, nie miały wiele wspólnego ze swoim pierwowzorem z roku 1980. *Solidarność* ze stanu wojennego i działań niejawnych wychodzi osłabiona organizacyjnie i merytorycznie. W społecznym przekonaniu, potwierdzanym socjologicznymi badaniami, ponowne legalne odrodzenie NSZZ *Solidarność* nie rozwiązuje zasadniczego dylematu Polaki. Dylematu efektywnej, szybkiej, ale i ewolucyjnej zmiany ustroju, której charakter byłby całkowity, tak jak całkowity jest charakter obecnego kryzysu. Kolejnym ważnym elementem sytuacji jest brak w powszechnej świadomości opozycyjnego programu przeprowadzenia takiej zmiany. Takiego programu, który organizowałby społeczną wyobraźnię i społeczne siły, wyzwalał je z apatii i zniechęcenia. Dotychczasowe działania nadal są bowiem udziałem aniejaźności.

Książeczka niniejsza stanowi zatem wierny zapis Kisielewskiej gawędy, spisanej z taśm magneto-fonowej. Zabiegi redakcyjne postanowiliśmy ograniczyć do eliminacji chrząknięć, pomruków i westchnień naszego bohatera, odstępując od poprawek faktograficznych i fryzowania wypowiedzi niedość ułożonych. W zamian może choć w części udało się ocalić niepowtarzalną swoistość stylu, klimat i ton tej narracji. To w istocie "pamiętnik mówiony" i jako taki winien zachować właściwość gatunku.

Zarazem jednak te swobodnie smute opowieści posiadają wagę dokumentu historycznego, mimo iż nie obciąża ich багаż solennych przypisów wspartych równie solidną aparaturą bibliograficzną. Ich walor leży gdzieś indziej. Te dykteryjki przywracają naszym współczesnym dziejom, tak ułożonym i tak doskonale bezosobowym, normalny ludzki wymiar. Kisielewski spersonalizował polską historię. Właśnie tak, uczłowieczył ją i zhumanizował, gdyż ten wadyr prześwieca wie dobrze, iż za każdym procesem, zjawiskiem i faktem historycznym, politycznym czy społecznym kryją się żywi, konkretni ludzie z krwi i kości.

Jest to rzecz o biskupach i sądach stanu, policjantach i opozycjonistach, pisarzach i dyplomatach, komunistach - by użyć porównania samego Kisielewskiego - tak czerwonych, "jak kardynałowie łowiący raki w Morzu Czerwonym", i reakcjonistach tak czarnych, "jak Murzyn czyszczący konin z sady w noc bezksiężycową". W tym samym wązaku stopniu jest to rzecz o Stefanie Kisielewskim, który współczesną historię Polaki nie tylko w sobie właściwy sposób opisuje, ale który także ją współtworzył już od półwiecza. Dodatkowe zachęcanie do lektury byłoby w tych okolicznościach nieaktualne.

Tomasz Wołek

Stefan Kisielewski

"Przeznano mnie, żeby się wypowiedział o różnych ludziach. No, sprawa jest ryzykowna, ale trudno. Więc spróbuję. Według alfabetu.

JERZY ANDRZEJEWSKI

- znałem go 53 lat, chyba, był to mój przyjaciel, ale nie bardzośmy się lubili. Może to wynikało z różnicy usposobień i temperamentów. Prawdziwą pretensją miałem do niego o powieść "Fopiół i diament", bo uważam, że ona zafałszowała obraz Polaki bezpośrednio powojennej, że właściwie dała komunistom okazję, żeby wytłumaczyć sprawę trudną, sprawę np. AK w sposób nieprawdziwy - co mu zresztą mówili. Wynikło z tego tyle, żeśmy do siebie kilkanaście lat nie mówili w ogóle. Ale potem się z nim pogodziłem. No, on tej powieści nie odwołał, a młodzież dziś zdaje się uważa, że jest to powieść doskonała i wolnościowa. No więc ja mam inny pogląd. A Jerzego... Moja żona go bardzo lubiła, a ja go średnio lubiłem. Ale był to nieprzeciętny człowiek, niewątpliwie.

cd. na s. 4

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

- ciekawa postać, komuniści, ateista, który miał do nas jakiś sentyment. Jeszcze w roku 1946 urządził dyskusję marksistów z katolikami w Krakowie u Wierzyńska, gdzie głównymi dyktantami byli pan Drobner i ksiądz Piwowarczyk. Dyskusja była wspaniała, bo Drobner mówił, że Marks napisał tak i tak. Na co ksiądz Piwowarczyk mówił: "Nie on powiedział nie tak". - Więc Drobner mówi: "Ksiądz szanowny się myli". "Ja się nie mylę, ale pan zna tylko lipskie wydanie Marksa, a nie zna pan Londyńskiego, gdzie on napisał to i to". No więc była to wysoka szkoła jazdy.

Potem Bieńkowski został wyrzucony jako gomułkowiec. A w 1956 znowu się zjawił w Krakowie, zaczął rozmowy z Gołubiewem, z Zawiszką, obiecywał nam, że będzie wiele klubów katolickich. Ze wzięliśmy do Sejmu, Zawiszy do Rady Państwa - no i skusił nas... a potem sam wyjechał po kilku latach, ponieważ Gołubka, którego był bliskim przyjaciółcą w czasie okupacji, zdenerwował się jego dowcipami. Robił w Sejmie dowcipy rzeczywistości dziwno. Powiedział kiedyś, że mamy trochę tysięcy nauczycieli szkół niższych-idiotów. A skąd się wzięli?...? Z socjalizmu, socjalizm ich wychował. Po takich dowcipach Kliszko się zdenerwował. Wyrzucili Bieńkowskiego najpierw z ministerstwa, został dyrektorem ochrony przyrody, czy lasów, czy czegoś. Potem go z partii wyrzucili i został polakiem Bzilasem, wydaje za granicą.

Mieszka w tym domu zresztą. Niby członek. Ja się z nim kłóczę, bo mówi: "Pan ciągle wierzy w marksizm, tylko pan mówi, że źle wykonano. No, nie-stety po tylu latach to już okazuje się chyba, że tego nie można dobrze wykonać". To jest różnica wiedzy nami.

JÓZEF CYRANKIEWICZ

- ciekawe, bo niby postać reprezentująca PPS, a ja nigdy o nim przed wojną nie słyszałem. Mój ojciec był przecież starszym pepeesowcem, znałem różnych pepeesowców, a o Józefie Cyrankiewiczzie jako żywo nigdy pojęcia nie miałem. Rodem z Krakowa, a właściwie z Tarnowa, z endeckiej rodziny, bo ojciec był członkiem Stronnictwa Pracy, a brat Młodzieży Wszechpolskiej. A on się wyłamał i był pepeesowcem. Znana postać na uniwersytecie, dowcipny, wesoły, i tak dalej. Przychodzi okupacja i jest czynnym działaczem WRN, czyli pepeesu antykomunistycznego, niepodległościowego. Przykładem dostaje się w ręce Niemców, znajduje się w Oświęcimiu, gdzie zresztą świetnie się zachowywał. Tu mogłoby powiedzieć anegdotkę. Jest taki literat, pan O., który był z nim razem w Oświęcimiu i mówi, że mieli tam znajomego kapo, który stwierdził, że przed wojną był kierownikiem sali w Bristolu i że zna wszystkich Polaków. Ten kapo rezerwował dla nich miejsce uprzywilejowane, to znaczy dozorca klozetu, bo tam się nic nie robiło.

cd. na s. 5

W procesie zapoczątkowana przez Sierpień '80 wyłoniły się nowe elity, nowe środowiska i grupy społeczne - co uznać należy za najważniejszy sukces opozycji - ale nowym elitom grozi zerwanie żywej więzi z większością społeczeństwa. Symbolem tej więzi jest *Solidarność*, ale rozumiana niekoniecznie jako organizacja związkowa, lecz jako wielka idea wspólna większości Polaków. Mając to wszystko na względzie wizja druga, nazwijmy ją opeją dynamiczną, w punkcie wyjścia zadaje pytanie o sposoby wyzwolenia społecznej dynamiki.

Aby to się dokonało, konieczne wydaje się przeprowadzenie gruntownej rewizji pewnego zespołu poglądów, który upowazaczał się w części opozycyjnych elit. W ich świadomości NSZZ *Solidarność* jest i związkiem zawodowym, i reprezentacją większości społeczeństwa, i ruchem ogólnonarodowym. Jest w s z y s t k i m. W imieniu tej całości należy podpisać nowe porozumienie z władzą, a wówczas odradzająca się organizacja znowu wypełni sobą całą polityczną scenę w Polsce. Warto zauważyć, że podobnie byli szefem OPZZ, czego przykładem była złożona przez Alfreda Niedowicza propozycja, by rząd podpisał z niezwiązanymi porozumienie analogiczne do sierpniowego.

Wyzwolenie społecznej siły będzie kosztowne i bolesne - w punkcie wyjścia wymaga dokonania wyraźnego podziału między *Solidarnością* - związkiem zawodowym i *Solidarnością* - ruchem politycznym. Ta pierwsza musi ukomponować się w ewolucyjny projekt przesłania państwa i pełnić funkcje organizacji obrony praw zawodowych i obywatelskich przywrócić ideowy fundament Sierpnia '80. Ten fundament opisują pewne zasady, które warto przypominać stale.

Solidarność to kompromis.

Formułę kompromisu narzuciły sierpniowe umowy, ale nawet w marcu 1982 roku nie wycyfano się z płaszczyzny porozumienia. I był to akt politycznie mądry, mimo nacisku związkowych radykałów, choć z oczywistych względów tylko symboliczny. Mądry, gdyż podkreślał ciągłość i odwoływał się do dominującego w społeczeństwie przekonania, że ponad podziałami ważniejszy jest los całości - Polaki właśnie. Siłą sierpniowego kompromisu była organizacyjna podmiotowość ruchu. Jego słabością była słowna radykalizacja. Politycznie ruch stale manewrował między więcej prawdy a więcej skuteczności. Okazało się bowiem, wbrew sądów moralistów z opozycyjnej lewicy, że jedno z drugim nie zawsze idzie w parze.

Solidarność to reformy.

Nie było w sierpniowym projekcie społecznym niczego, co by wykraczało poza fundament PRL-owski Konstytucji. Prawnie związki zawodowe zawsze były niezależne, prawa człowieka i obywatela gwarantowane, wolność słowa zabezpieczona... itd. Rewolucyjnie było to jedno, że ludzicom *chciało się* chcieć wbrew realnym zagrożeniom ze strony totalitarnej władzy i jej aparatu. Kiedy PZPR to zrozumiała, było już za późno. Na nagłe narodzoną społeczną odwagę można było oddziaływać tylko przy pomocy spotęgowanego w człowieku strachu. Chęć być dobrze zrozumianym - w grudniu 1981 roku przeciwstawiono się siłą nie wysuwana przez Związek projektem zmian, ale odrodzonej w ludziach odwadze i obywatelskości. Bez nich owe projekty pozostałyby tylko papierowymi tygramami. Dlatego dziś władza sięga po *solidarnościowe* programotwórstwo bez zbytełnego skrapowania, bo, niejednokrotnie idąc dalej w zamiarach reform niż nasze najśmielsze oczekiwania z 1981 roku. Tyle tylko, że - jak mawiają Anglicy - nie da się zjeść ciastka i nadal je mieć. Albo projekty reform wypełni żywa, aktywna treść społeczna, albo pozostaną wariacją literą. I cały wysiłek władzy idzie w tym kierunku, by siła reform była nawet autentyczna, byleby tylko nie-*solidarnościowa* aktywność społeczna. To dlatego składa się oferta udziału w Sejmie, reformuje się prawo o stowarzyszeniach, jednocześnie traktując *okrągły stół* jako atropę porozumień.

Solidarność to skuteczność.

Jak sądzić, nie w roku 1982, roku represji, terroru i pałek, ale dziś ważą się losy *Solidarności*. Czy będziemy potrafili w zalążonych siłą warunkach upraktycznie genialną zasadę Sierpnia - wejść w ogólny projekt reformy tysiące małych prób reformowania społecznego kontekstu? Zapomniałszy, że wielkie umowy Sierpnia wypełnione zostały setkami tysięcy umów małych, które zawierano na szczeblu zakładowym. Bez nich nie byłoby nigdy tego, co stało się później - narodzin wielkiej aktywności społecznej. Ta dwa rytmy społecznego działania się powiniśmy recytować jak wieczorną modlitwę - stale. Tylko bowiem ten akt polityczny ma szansę konkretyzacji, który z góry niejako zakłada możliwość wypełnienia go spontanicznymi działaniami na poziomie podstawowym. Działania podstawowe nigdy nie dadzą jednak nowej jakości bez politycznych kroków, które nadadzą im ogólniejszy i głębszy sens. I w tym miejscu zaczyna się sens polityczny opozycji. Opozycji, która musi walczyć jednocześnie o legalizację związku zawodowego, ale i o charakter przekształceń państwa. Związek może być siłą tych przekształceń, ale nie powinien być zamiast państwa. Nie powinien ani go zastępować, ani tym bardziej realizować utopii odrodzenia się społeczeństwa p o - z a państwem.

To przejście widoczne jest dopiero w podwójnej perspektywie strajków 1988 roku i reakcji władzy na nie. Strajki, jeżeli już do nich docho-dziło, miały charakter zdecydowanie polityczny. W jedynie dostępnym sobie języku symboli protestujący domagali się przywrócenia NSZZ *Solidarność*. Postulaty płacowe i inne zajmowały dalsze miejsca. *Solidarność* rozumiano wielorako - jako organizację obrony przed ekonomicznym wyzyskiem, obrony przed ograniczaniem praw i deptaniem ludzkiej godności. Ale domagano się także *Solidarności* pojmowanej jako jedyna siła zdolna unieść ciężar przemiany PRL w ojczyzną wspólnych marzeń. Mówiąc o różnych rozumieniach *Solidarności*, nie należy zapominać i o tych, którzy upatrują w niej narzędzie ostatecznego rozwiązania obecności komunistycznej władzy w Polsce. Radykalizm, który obecny był już w maju '88, sierpień w odczuwalny sposób pogłębił. Nie można nie dostrzegać tych tendencji, tym bardziej, że ich wyrazicielem staje się *stół* *«Solidarność»*. Ten p o l i t y c z n y napór skłonił władzę do

wysunięcia propozycji okrągłego stołu, uznania de facto kierownictwa Związku jako reprezentantów Solidarności oraz zaakceptowania dyskusji nad formami zalegalizowania NSZZ Solidarność. Zaproponowano więcej - wspólny namysł nad reformą państwa. W Solidarności zwyciężyła jednak opcja statyczna, zachowawcza, ograniczająca się do powrotu do koncepcji Sierpnia '80 - odbudowy społeczeństwa niezależnego od państwa.

W polityce mniej liczą się intencje niż możliwość dysponowania realnymi siłami społecznymi. Dlatego też mniej interesują mnie zamiary władzy /na ile jej koncepcje są grą tylko i instrumentem wygaszenia społecznej dynamiki/, niż realizowane przez część opozycji plany. Wiem także, że zaniechanie również i w polityce jest ciężkim grzechem. Zaniechanie organizowania politycznej / a znaczy to w polskich realiach nie tylko związkowej, nie tylko antytotolitarnej / świadomości społecznej nie może przynieść sukcesu. W tym też sensie Polska końca roku 1988 to kraj, gdzie walce z władzą towarzyszyć zaczyna spór o społeczną świadomość. Spór o to, czy głównym zadaniem jest rewindykować od państwa czy też rewindykować państwo. Proces drugi wymaga i nowego języka artykulacji społecznych dążeń, i nowych instrumentów realizacji tych pragnień. Nowych instrumentów czyli organizmów o wyraźnej tożsamości politycznej - wyrażających wolę współdziałania i współodpowiedzialności. Ich obecność i skuteczność działania stać się może nowym probierzem rzetelności /lub jej braku/ nowych ekip rządzących Polską. Dopóki nie powstaną, kompromis będzie pojęciem pustym - nadzieje społeczne pozostaną w zawieszaniu, propozycje władzy zachowają postać propagandowych sloganów.

Październik 1988 Andrzej Urbański

Radosław Januszewski

idzie o życie

Pułapka na ludzi

Do kopalni idzie się dla pieniędzy. Tysiące młodych ludzi przybywały do tego miasta, by poprawić swój los. Kopalnie dawały względnie wysokie wynagrodzenia, mieszkania, pożyczki. Można było uniknąć wojska. Robota "na dole", która odstręczała wielu ich rówieśników, im wydała się na tyle atrakcyjna, by podjąć ryzyko. Niejeden zjeżdżał pod ziemię po zarobek, a znajdował śmierć, kalectwo lub chorobę, która czyniła go inwalidą na resztę życia. Wysłuzonego górnika poznać po zdeformowanych okaleczeniach rękach, zniekształconych rękach, braku jednego, kilku palców.

Przyjmowano to jako dopust Boży. Ot, tak już jest w kopalni. Godzono się, choć z zacisniętymi zębami, nawet na chamstwo dozoru. "Macią" rzucą się przeciw i wśród kolegów - z przyzwyczajenia albo żeby choć trochę rozładować napięcie. Najtrudniej przychodziło znieść szwindle przy wypłacie i zażyczenie nora. I to można było jednak wytrzymać, bo pieniądze wystarczało.

Względny dobrobyt, tzn. mieszkania, meble, czasem samochód, jakieś wyjazdy na wczasy, okupiony był codzienną harówką, ale na Śląsku ludzie nie boją się pracy.

- Człowiek z dołu wyjedzie i hierze się jeszcze do "fuchy"

albo domek sobie buduje. Po to się tutaj przyjechało, żeby pracować. No, nie za darmo. Machnięcie ręką. Chłopak na żonę w ciąży, a mieszka w teściów. Nie jest to jedyny powód, dla którego teraz strajkuje, ale nie zdecydowałby się na tak desperacki krok, gdyby miał jakiegokolwiek perspektywę życiową. A tu, nagle, skończyło się.

Dla górników zabrakło pieniędzy. Na ostatnich "podwyżkach", gdy do wynagrodzenia włączono dodatek osłonowy, stracili od kilku do kilkunastu tys. zł. Okazało się, że podejmując pracę w kopalni podpisali cyrograf na życie. Węgłowa monokultura nie daje szans zmiany zawodu. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi pozostało bez wyboru. Przeprowadzić się nie można, bo na miejscu trzyma mieszkania. Odejść z kopalni nieszychanie trudno, bo trzeba spłacić pożyczki - czasem i kilkanaście tysięcy miesięcznie - a skąd wziąć pieniądze? Są kursy, które dają papiery upoważniające do podjęcia dobrze płatnej pracy. Gdyby było można gdzieś ją znaleźć. A tu - tylko kopalnie. Przeprowadzić się nie sposób, bo mieszkanie...

Po kraju krąży fałszywki o bająnskich sumach zarabianych przez górników i wszelakich dobrach konsumpcyjnych, które można nabyć na książeczki "G". Tymczasem, przed strajkami, na dole, gdzie praca jest najcięż-

Pewnego dnia przychodzi do niego i mówi, że przyjechali Sawan i Malicka. A ten kapo pyta: "Co to za jedni?". "Jak to? Sławni aktorzy, co pan, nie wie takich rzeczy. Sawan - najpiękniejszy mężczyzna w Polsce". "A, no to dobrze, to ja go dam do klozetu". A ten Sawan wyglądał jak półtora nieszczęścia - był ostrzyżony na zero, miał strasznie nienastającą, niedopasowaną palciak, kulawy był w ogóle jakiś. Po paru dniach przychodzi ten kapo i mówi: "Słuchajcie on nie ma prezencji, on się nie nadaje. Przyjdzie komendant, wyzuci jego, a mnie powiesi. Ale ja to miejsce dla was rezerwuję - dajcie innego". Po paru dniach przyszli inni i ten kapo na drugi dzień mówi: "No, to jest chłopak do rzeczy". A to był Józef Cyrankiewicz. I on w tym Oświęcimiu, a potem w Niemczech skonał się jakoś z komunistami. W każdym razie przyjechał do Polski chyba z ideą koalicji. I wiem, że było zebranie pepesowców w Krakowie, gdzie Zygmunt Zaremba szalenie przeastrzał przed tym. A nagle Cyrankiewicz i Businek, którzy przyjechali z obozu, powiedzieli, że oni właśnie jadą do Bieruta, mają zaproszenia. Tam jakby piorun strzelił. "Rany Boskie! Co robicie!" - socjaliści na rany Boskie się powoływali. A on powiedział: "Nie, ja mu przedstawię wasze postulaty, wszystko będzie inaczej". Ale Zaremba mi mówił - ja go kiedyś w Paryżu spotkałem - że już nigdy potem się nie pokazał, nie nie przedstawił.

No i pokazał jakąś zrzęczość polityczną. Podobno Stalin go polubił szalenie. Była taka scena na Kremlu w czasie obiadu, na którym byli przedstawiciele PPR, PPS, wszystkich czterech stronnictw. Stalin bez przerwy mówił: "No tak, PPS to jest narodowa partia, która nie chce z komunistami, która chce osobno... ja wiem..." Ciągłe do Cyrankiewicza pik. Nagle Cyrankiewicz zabrał głos i powiedział: "Tak, towarzyszu Stalin, my jesteśmy partią narodową, mamy wielkie tradycje, my byśmy chcieli iść osobno, ale zrobimy tak, jak my sobie będziecie życzyć. A wiecie dlaczego? Bo wy dla nas jesteście jedynym słowem światowego socjalizmu". Stalin rozpromienił się, powiedział: "Wot gołubczik". I od tego czasu przez szereg rządów pan Józio się trzymał, z tym, że nie poszło mu z tą ręką obcinaną w Poznaniu. Ale potem się zrehabilitował w jakiś sposób. Właściwie należał do tej grupy reformistycznej, puławskiej - raczej. Przy czym w Poznaniu mi opowiadali, że on pojechał kiedyś do tego samego Cegielskiego, gdzie właśnie o tej ręce mówił. I tam się szkodliwi na niego, że "my tego tutaj drania splantujemy". A on od tego zaczął, że "Ja tu na pewno zostawiłem złe wspomnienie, powiedziałem o tym obcinaniu ręki. No, ale wiecie przecież, jakie to były czasy, wiecie, gdzie żyjemy". No i pokazał ręką na wschód i wtedy ogromne okłaski. "No morowy chłop", "swój człowiek". A Gomulka się tam nie

cd. na s. 6

cd. na s. 6

podobał, bo mówił o gospodarce, a było widać, że nie ma o niej pojęcia. I ten Józio się długo trzymał, nawet kiedy Giersek odszedł, to go zrobił przewodniczącym Rady Państwa... Już wiele on nie znał, ale za stalinizm nie odpowiadał, za gomułkizm nie odpowiadał i w końcu za niego nie odpowiadał - co dowodzi szczerością. To znaczy za socjalizm odpowiada, ale ja go kiedyś zapytałem: "Czy pan dalej wierzy w socjalizm?". "A w co ma wierzyć? Czy można budować kapitalizm bez kapitalu". No - pomyślałem sobie - ma rację, nie można. To postać ma swoje porządki cyniczne, bo polityk tego rodzaju musi być cynikiem. Ale stara się jakoś wypłynąć tak, żeby go Polacy lubili, nie powiem - kochali, ale żeby go nie powiesili jak dojdzie do czego.

BOLESŁAW DROBNER

- postać znana, acim zdaniem mało poważna. Pospolowiec, ale zawsze dyplomant, komunistyczny trochę. Miał rodzinę komunistyczną w Rosji. Jego sięg był, szła się przez Stalina wyhodowany. Drobnier pojechał na światło niedźwiedzie w czasie wojny, pozostawił całą swoją lewicowość. Sie-dział gdzieś w kraju Jakutów. Opowiadał mi w Sejmie, że gdy go zwolniono, przyjechał do Moskwy i w Moskwie spotkał na ulicy Zambrowskiego. Zambrowski mówi: "Aha, to wyście wrócili z obozu. To świetnie. Dziś idziemy do Mołotowa, bo będziemy ustalać wschodnią granicę Polski". Drobnier mówi: "Jak to? Ja nie wiem, ja byłem na zesłaniu". "To nie". I mówi mi: "Przychodźmy. Mołotow ma czerwony i niebieski ołówek i kreśli - tu Krosno, tu coś tam". I Drobnier mówi: "Absurd. Nigdy jest w Londynie, ja wracam z zesłania i mam ustalać granicę Polski". Tłórczi zresztą, że ego tam wytargował, właśnie koło Krosna, czy gdzieś tam - ale czy to prawda to nie wiem.

Bardzo zresztą zabawny. To mu mam za złe, że niszczył w Krakowie prywatną inicjatywę. Sklepy stare zamykał. A jego rodzina była bardzo bogata i też mieli takie sklepy, więc on miał kompleksy jakiś. Potem się w Sejmie bardzo naraził, bo był najstarszym posłem i otwierał Sejm. I coś takiego powiedział, co się książce nie podobalo. Książko był nersus straszny i zabronił, żeby już kiedykolwiek zabierał głos w tych sprawach. Zabawna to była postać, ale niezbyt poważna.

MARIAN KILÉ

- bardzo ciekawy dziennikarz z "Wiadomości Literackich". Kierownik plastyczny "Wiadomości". Całe życie marzył, żeby stworzyć coś w rodzaju polskiego "Playboya" i stworzył "Przekrój". Mój pierwszy etap był "Przekroju". Mam pierwsze numery i tam był taki abstrakcyjny humor, że Hitler żyje, ale się ukrywa. Była taka dziewczyna z warkoczami, o rysach Hitlera, później posąg jakiś

szła, zarabiano często nie więcej niż czterdzieści parę tysięcy miesięcznie. Praca w soboty i niedziele mogła podnieść zarobek do ok. 100 tys. zł, pod warunkiem, że przez cały miesiąc pracowało się bez wypo-czynku. W kopalni, nie w ogrodzie różanym! Na "botanie ajencyjnej", przy wysokich normach osiągało się powyżej 3 tys. zł dziennie, ale takich stanowisk pracy jest niewiele.

W słynnych "Giewonach" rzeczywiście można było kupić pszki, lodówki, odkurzacze wówczas gdy w ogólnie dostępnych sklepach ich nie było. Teraz "wyronako się". Posa tym - nie na pieniądze. Zarobki za "czarne" dni, jak w całej Polsce, ledwie starczą do pieruszego. Ludzie dają sobie jednak jakoś radę. Pracująca w większych tych, którzy tu się osiedlili, nie uległa procesowi "wykorzenienia" - demoralizacji wynikłej z przecięcia dotychczasowych więzi społecznych. Przyjeżdżających do Jastrzębia młodzi, aktywni i zaradni - tylko ciacy bosiem decydują się na zmianę miejsca zamieszkania w poszukiwaniu lepszego życia - szybko potrafili zorganizować sobie egzystencję. Polegało to na założeniu rodziny, nawiązaniu stosunków sąsiedzkich, tym mocniejzych. Ze nakładających się na koleżeńskie wyniesione z kopalni. Na dole, w warunkach ciągłego zagrożenia i intensywnego, kolektywnego wysiłku sformułowanie "brat górnika" nie jest sloganem.

Miasto rosło jednak zbyt szybko, a warunki życia, nawet w "dobrych" latach, były za ciężkie, by nie doszło do zakamów mniej wytrzymałych jednostek. Samobójstwa w Jastrzębiu zdarzają się zbyt często. Desaparacja, beznadziejna odczuwane były tam ostrzej, że dramatyczne obniżenie stopy życiowej nastąpiło niemal z nieściąga na miesiąc. Było do czego porównywać - "stare, dobre czasy" mocno tkwiły w pamięci. Przyszłość napawała trwogą.

Pałupka zaczęła się zamykać. Okazało się, że ludzie do kopalni zwabiono. Mienawidzą pracy w soboty i niedziele, a chcą, że ia się tę możliwość zabierze - wtedy "nie wyżyją". Znoszą wyzysk i pańszczyzniane praktyki dozoru, bo inaczej dostaną gorzej płatne stanowisko.

Godzili się na najgorsze warunki, kurczowo trzymali się swoich miejsc pracy, a raczej trzymał ich rozbudowany, prawnokońomiczny przymus pracy "na państwowy", militaryzacja, pożyczki, mieszkanie, brak innego zatrudnienia.

Pańszczyzna

Gazy trujące i duszące, ruchy górotworu, pożary, o których wiadomo, że są, choć ich nie widać /kiedy już widać ogień, to za późno na ucieczkę/, tropikalne upały w głębokich kopalniach, czasem woda po pas, solanka lejąca się za kominem, zdezcelowany sprzęt i zmęczeni ludzie jako dodatek do

sprzętu. Liczą się tylko metry, metry do przodu.

- Szttygar kazał mi coś tam robić, a nade mną gwał - taka płyta ukończone tkwiąca w stro-pie. Próbowałem ją podważyć. Nie dało rady. Pokazuje szttygarowi, a on - żeby raz patrzył na robotę, a raz na płytę. No, to tak robiłem - kilka sekund na dół i kilka do góry. Poprosił kolegę, żeby uważał. Na-gle czuje, dotyka mi ramienia. Ja - myk, w haki kłębni dokład-nie tam, gdzie stąkam.

Górnicy z Przedsiębiorstwa Budowy Kopalni nie mogli już znieść solanki lejącej im się na głowy /podrażnienia skóry, oczu, stopy odparzone od gumo-wych butów/: w takich warunkach, według przepisów, powinni pracować krócej. Przybyła kontro-ja z gwardią.

- Panowie, na co się skarży-cie, przecież solankę macie, jak w sanatorium!

Przypięty pozostał na papierze. O wszystkim decyduje do-zór.

- My nie jesteśmy górnikiem, Górnicy to ci, którzy dobrze zarabiali. Kobią nam wysoka przeciętna - 150 tys. zł miesięcznie. My to pasowa dołowa albo lepsze - ryba, robole, kapi-doty. Górnicy liczą się od szttygara wyżej.

Smutny żart. Trochę przypo-mina humor żydowski - gorzka autoironia ludzi pokrzywdzo-nych.

Od dozoru zależy, ile górnicy będzie zarabiał, czy i kiedy będzie miał wpiór, czy zostanie ukarany, czy dostanie premię, czy wypłaci mu się odškodowa-nie za wypadek. W praktyce panuje pełna dowolność. Szttygar, kierownik zmiany, na któ-rych skarbą się ludzie, dobrze widział się u dyrektora.

W 1960 r. zastrajkowali wszyscy - robotnicy i kadra techniczna. Tegoroczny strajk był niemal wyłącznie górniczy. Władza potrafi wyolbrzymać unio-ki z doświadczeń Stiergania. Zarobki dozoru wzrosły, rozanoży-ły się etaty, rozbudowano admi-nistrację, coraz lepiej widło się kopalnianym ubokom i ornow-com, "zreorganizowano" wydoby-cię - pojawiły się gwardia. Dozór spotulenił wobec władzy i zhardtł w stosunku do gór-ników. Dostawał za duże pienią-dze, żeby ryzykować nonkonfor-mizm. Do strajkujących przyłą-czyli się tylko dwaj szttygarzy - w "Manifestie" i w "XIX-le-ciu".

Ostra różnica w zarobkach "fizycznych" i "umysłowych" jest związana z peerełowską organizacją procesu produkcji. Rozbudowuje się dobrze opłaco-ny aparat nadzorczy po to, aby zwiększyć wyzysk. Produkcja rośnie kosztem ludzi. Ponieważ taki stan doprowadzić może /i doprowadził/ do protestu społecznego, dozór - uzupełniony przez ornowski "aktyw" - stan-owi rezerwa uruchamiana na wypadek strajku.

Górnikom odebrano wszelkie możliwości kontroli ich miejsca pracy. Kopalnie utraciły osobo-wość prawną. Stały się zakłada-

ni. Rolę przedsiębiorstwa pełni gwarant. Dopiero tam można znaleźć radę pracownika. W kopalni działa jej namiastka, tzw. "zespół samorządowy" albo "komisja terenowa". Ich rola ogranicza się do "wydawania opinii". W praktyce - kierownictwo robi, co chce, a górnicy muszą pracować i słuchać.

A samo gwarantstwo? To dodatkowa - między ministerstwem a kopalnią /jest jeszcze Wspólnota Węgla/ - instytucja pasożytująca na ryłkach z kopalni. Poprzez nią "ufedrowane" pieniądze idą do budżetu państwa. Nie starcza funduszy na sprawy lokalne, rozbudowę infrastruktury. Jastrzębia jest cywilizacyjną pustynią. Lokalna władza musi się jednak wykaazać.

- Budują sobie różne ośrodki, baseny, ale nie dla nas. Sami z tego korzystają. Dzwonią z gwarantstwa do dyrektora - potrzebne 40 mln zł na coś tam. A skąd on je weźmie? Od nas wyciskają.

Wśród postulatów strajkowych dotyczących spraw branży wybiła się żądanie zniesienia gwarantstwa - administracyjnych molochów skupiających po kilkanaście kopalni. W powszechnej opinii stworzone je po to, żeby zamknąć możliwość legalnego samorganizowania się załóg, zlikwidować wszelkie formy oddolnej kontroli. Najbardziej dokuca świadomość, że cały ten aparat utrzymywany jest z pracy górników.

- My na nich pracujemy, na tych nierobów, a oni są tylko po to, żeby nas lepiej pilnować i gnąć do roboty. Bo tego, co się tu dzieje, nie można nazwać pracą. To robota, robota głupiego. Narużesz po to, żebyś jeszcze bardziej harował.

Wydobycie jest celem samym w sobie. Godność ludzka, sens pracy przestają się liczyć /wyprawy, BHP, uczucie wypłaty/ traktowane są przez administrację jako przeszkoda w osiągnięciu zysku, w wykonaniu planu. Tylko że takie oranie "materiałem ludzkim" nie może trwać w nieskończoność. "Materiał" wrzecie się w ręce. Kończy się cierpliwość i wytrzymałość, a wtedy dozór przestaje grać rolę karbowych. Używa się go w charakterze łamistrąjków.

"Socjotechnika" władzy oparta jest na zasadzie dzielenia i rządzenia. Wynikają z tego bardzo smutne konsekwencje - koszarne stosunki w pracy i demoralizacja dozoru. Premiuowanie /dosłownie/ najbardziej prymitywnych metod zwiększania wydajności prowadzi do selekcji negatywnej na stanowiskach kierowniczych od sztygara poczynając. Wielu górników rezygnuje z możliwości awansowania mimo ukończenia szkoły górniczej, bo czuliby wstręt do stosowania wobec kolegów metod, których doświadczają na sobie.

W jednej z kopalni, gdy należało zdecydować, czy dopuścić sztygara do uczestnictwa w strajku, padła zdania: "jak on tu będzie, to ja wychodzę", "sztańce z dozorem trzymał, nie lepszy od innych". W końcu

ludzie dali się przekonać, ale poczucie obcości utrzymywało się jeszcze długo. Młachó zbiegła się latami. Złożyły się na nią codzienne praktyki dozoru.

Wypadków - tragicznej codzienności kopalni - w statystykach nie ma, bo "polecają po preni", więc kierownik nakłania poszkodowanego, żeby nie zgłaszał. "Jakoś to zakatujemy".

W soboty górnik ma prawo nie pracować. Lepiej z tego prawa nie korzystać, dostanie się "bumelkę", a wtedy nie ma co liczyć na prenię. Kto sprawdzi, czy kara została wymierzona szczerze - sąd pracy?

Ostatnie trzy - cztery miesiące przed strajkiem przyniosły tzw. "wzmocnienie dyscypliny pracy". Coraz częściej zdarzały się polowania na podszybiu. Rzecz wygląda następująco: po skończeniu robót przy ściąganiu górnik mógłby iść do domu. "Swoją" sztygar czasem udzielił zgody, żeby wyjść nieco wcześniej. Idzie się wtedy na podszybie, by dostać się do windy. Tam czatuje "obcy" dozór. "Podaj numer!" Ludzie rzucają się do ucieczki. Spisanie numeru kosztuje prenię.

Dozór nosi jasnokramowe kombinizony i "kilofki" - czekanki służące do ostukiwania ścian, sprawdzania jakości wykonanej roboty. Górnicy mówią na nich "biały". Robocze ubranie i narzędzia pracy odbierane są jako symbol statusu. Marzucha się marksistowskie określenie "przepaść klasowa".

A przecież górnicy i sztygarzy bywają sąsiadami, chodzą razem na wódkę, często są na "ty". Odnosi się wrażenie, że podziały powstające w pracy są sztuczne, narzucone z góry. Linia graniczną należy przemieścić wyżej. Oddziela dyrekcję - przedstawiciela władzy - od "salarjatu". Niższy dozór również mocno uzależniony jest od dyrekcji jak górnicy. Poza pracą zaś kierownictwo kopalni nie ma właściwie żadnych kontaktów z podwładnymi.

Na krawędzi

Strajk jest ostateczną formą zbiorowego protestu w sporach między pracodawcą a zatrudnionymi. W PRL oznacza to - jako że przemysł należy do państwa - nieuchronny konflikt z władzą. To samo dotyczy wszelkich innych form sprzeciwu poprzedzających strajk.

Już od kilkunastu miesięcy w wielu kopalniach podejmowano próby rejestracji "Solidarności". Kolejne instancje odrzucały wnioski. W początku maja Międzyzakładowy Komitet NSZZ "Solidarność" /nie należy go mylić z MKS-em "Manifestu"/ ogłosił gotowość strajkową. Wszelkie, poza strajkiem, sposoby dogadania się wykorzystano.

- Strajkuję, żeby poprawić warunki życiowe: zarobki, mieszkanie - mówi członek KS "Mosczenicy". - To jest w postu-

nagi - okazało się, że to Hitler udaje i takie różne kawały. To tak parę numerów było. Nagle przyjechał Borejsza z Warszawy, wezwał Ellego, zwywał go po twornie, że to jest burżuazyjny formalizm. Powiedział: "Ja panu dziękuję za pracę". Prawda - cześć. No i Eile zginął, poszedł gdzieś... i przerażenie, bo go nie ma dwa dni, bo może odebrał sobie życie. Zaczęli go szukać nad rzeką. No, ale w końcu się znalazł. Borejsza go pożalował i przywrócił. Było parę tylko numerów o orce, o kołchozach, ale potem "Przekrój" się rozwinął.

GRZEGORZ FITELBERG

- wybitna postać, wielki dyrygent. Co najciekawsze, że człowiek, który zakochał się w kulturze polskiej. Był synem dyrygenta wojskowego z Rygi, Żyda rosyjskiego. W dzieciństwie nie mówił po polsku w ogóle. A w Polsce tak się rozkochał, w polskiej kulturze i muzyce. Stał się propagatorem, przyjacielem Szymanowskiego. Był to świetny muzyk, ale nie bardzo dobry dyrygent, bo się trenował. Na próbach pracował wspaniale, miał wspaniałe słuch i uczył orkiestrę, a koncert potrafił zawalić, bo miał takie dziwne ruchy. Ale to bardzo ciekawy człowiek. Arogant potworny, niesamowity.

Pamiętam bardzo śmieszny z nim historię. Mianowicie przeszedł na katolicyzm przed wojną i był szalenie pobożny, chodził w procesjach i tak dalej... Wojnę spędził w Południowej Ameryce. Po wojnie został mianowany dyrektorem orkiestry w Katowicach - był bezpartyjny oczywiście. Tam był dyrektorem administracyjnej partii i drugi jeszcze sekretarz partii. Kiedyś jechali samochodem w Katowicach i nagle widzą, że procesja idzie do kościoła. Fitelberg mówi: "Proszę zatrzymać auto". Wysiadł, poszedł z tą procesją, poszedł się modlić. A ci się schowali za węgiem, bo się wstydzili. No i potem Fitelberg przychodzi i mówi: "A panowie co? Żydzi?"

No i wspaniałą rzecz zrobił, kiedy umarł Stalin. Fitelberg przyszedł na próbę orkiestry i mówi: "Proszę panów, proszę wstać. Dziś w nocy umarł wielki radziecki kompozytor Sergiusz Prokofiew, mój stary przyjaciel, autor tego, tamtego, owatego. Proszę uczcić minutą milczenia". Minuta milczenia, siadają, on się odwraca do koncertmistrza i mówi: "Panie Wochniak, podobno Stalin też umarł". Bo oni umarli tego samego dnia.

JERZY GIEDROYĆ

- znam go ponad 30 lat, u niego zacząłem pisać w "Buncie Młodych", potem w "Polityce". U niego wydałem szereg książek. Książkę podobno. Urodzony chyba w Moskwie, a gimnazjum kończył w Mińsku. Cingle tylko wyali o Wschodzie, o wolnej Ukrainie, o rozliczeniu Rosji i to są jego idee. Wspaniałe człowiek, szalonej pracowitości, który właściwie wolałby być politykiem niż redaktorem

i dyrektorem wydawnictwa, ale mu się to nie złożyło. Ja całe życie z nim się właściwie kłóczę, ale mu wszystko zawiączę. Jest urodzony w 1907 - w tej chwili ile ma lat? Dużo. No, ale pracuje ciągle jak koń. Powiedział, że po jego śmierci "Kultura" już nie powinna wychodzić, a książki to inna sprawa. "Kultura" bez niego nie mogłaby wychodzić, bo on tam wynalazł jakichś Litwinów, Ukraińców starych, którzy pisują. Tego nikt nie będzie kontynuował z młodych.

Ja w ogóle stwierdziłem, że na emigracji są tylko ludzie, którzy znają Rosję i kochają. Bo przecież przed wojną był znacznie większy kontakt z Rosją niż jest teraz - to jest paradoks. Biali Rosjanie w Warszawie - tego było masę. Ale w ogóle, były piosenki sowieckie, były tłumaczenia i tak dalej. Było jakieś zainteresowanie, było masę ziemian z Ukrainy. W tej chwili oni wszyscy są na emigracji, albo wymierają. Przywiozłem kiedyś do "Kultury" płytę Okudźawy, to Gieroyć mało nie płakał jak usłyszał "Przy kominku" i takie różne. No bo on się wychował na Wschodzie.

PRYHAS AUGUST HLOND - rozmawiałem z nim dwa razy, bardzo miły. Miał wyrzuty sumienia, że nie był w Polsce w czasie okupacji. No i wierzył w trzecią wojnę, która niezadługo nastąpi. W 1946, kiedy był projekt stworzenia katolickiej grupy w Sejmie - takiego dużego "Znaku" - on to poparł. Ale kiedy Nikolaiczek mu wytłumaczył, że to będzie konkurencja dla PSL, a on wygra wybory lub będzie interwencja w ONZ, jakby było oszustwo wyborcze, Hlond jednak dał się przekonać i cofnął błogosławieństwo dla tej imprezy. Po czym niedługo umarł. Ale był to bardzo sympatyczny człowiek, a wierzył w trzecią wojnę i trudno mu to było wytłumaczyć.

KAROL IRZYKOWSKI - mój mistrz, znałem go od dzieciństwa. Był to wielki krytyk, wielki dziwak, wielki oryginał. Długo rzeczy pisujący. Jako krytyk był bardzo dziwny, bo lubił pisać o złych książkach, a nie bardzo lubił o dobrych. To samo w teatrze. Napisał "Rakuba", która była prekursorską książką - gdyby dotarła na Zachód... Ale nikt o tym nie wiedział.

Fantastyczna postać, bardzo ciekawa. Pamiętam jego wypowiedź w czasie okupacji /często widywałem go w "Kuchni Literatów"/ "Słuchajcie, piszcie, róbcie coś, przecież to jest cudowny czas - ta okupacja - czas darowany. Nie ma życia literackiego, nie ma "Wiadomości Literackich", nie ma żadnych szantaży. Tylko siedzieć w domu i pisać". I paradoks, że on napisał książkę swojego życia, nazywała się "Moisty". W czasie Powstania, najpierw go postrzelili, potem całe mieszkanie na Filtrówce Ukraińcy mu przefasonowali. Te książki wyrzucili oknem - wiatr nosił i

cd. na s. 9

latami. I o pl uralizma - śmieje się. - Niektórzy wyobrażają sobie, że to strajk polityczny. Nieprawda. Chodzi o związek zawodowy. "Solidarność" to dla wielu legenda. Jak będzie legalizacja, to zmieni się strukturę, tak żeby nie prowadzić działalności politycznej. Taka czysto związkowa "Solidarność".

- Polityka? Rzeczywiście, tak daleko zaszliśmy, że włączyliśmy się w politykę, ale zostaliśmy do tego zmuszeni przez Sejm i Radę Państwa, która wydała uchwałę zabraniającą dwóch związków w zakładzie. Musimy jakoś na nich oddziaływać, a to już polityka. Ale socjalizmu nie mamy zamiaru obalać. Od tego jest KPN - znów śmiech - byle się nie mieszało w nasze sprawy.

- Istnienie dwóch związków nie rozbije systemu. Konstytucja nie zabrania pluralizmu.

Piętnastego, w poniedziałek, zastrajkował "Manifest". Między innymi a piątkiem stanęło kilka naciągów. Wszędzie wyglądało podobnie. Na styku zmian ktoś zrywał do strajku. Ludzie gromadzili się w cehowni. Kopalnia przerywała wydobycie. Nastroje były takie, że wzwanie musiało poskutkować. O strajku wysłano przynajmniej od maja. Miarka przebrała się, gdy wypłynęła obniżona zarobki. Przykład "Manifestu" podzielał jak zapalnik.

Strajkujący twierdzą, że nie było nikogo z zewnątrz, żadnej organizacji. Wszystko wynikało samo z siebie - spontanicznie. Sprawia to wrażenie polemiki z oficjalną wykładnią przyczyn niepokoju społecznych, ale jest w tym też niewypowiedziana obawa przed manipulacją. Wyraża się w specyficznym stosunku do innych niż "Solidarność" organizacji opozycyjnych - "oni". Nie ma w tym wrogości. Raczej nieufność. Mniej więcej wiadomo, który z kolegów działa w opozycji. Bardzo się u nich cenili postawę chętnego pomocy bez zaklatwania własnych interesów "partyjnych".

Organizacja jednak była. Nie mityczny region /jak powiedział pionier działacz - region to może być chłopak z walkiem", ale grupa aktywnych ludzi na terenie kopalni, pokrywająca się w zasadzie z Komitetem Założycielskim "S". Po 15 VIII organizacja rozwinęła się i wzmocniła. Do "Manifestu" szło się po radę. Stał się przybywali ludzie, którzy pomagali organizować strajk. Do tego w zasadzie sprowadzała się cała konspiracja. W "Mozazencicy" wzwanie do strajku rzucił górnik pozostający wtedy poza komitetem założycielskim "S". Krąg ludzi, którzy byłiby w stanie zatrzymać kopalnię, był znacznie szerszy niż grupa, od której wyszła inicjatywa. Potencjalnie - każdy, kto nie tracił języka w górze w obliczu tłumu. Zachowania ludzi determinowała pamięć wydarzeń lat 1980-81. Opinia, że "S" poniosła porażkę, bo zbyt wiele chciała osiągnąć, znalazła odbicie w

ograniczeniu się do spraw czysto związkowych i bezpośrednio łączących się ze strajkiem. Odżegnywanie się od wszelkiej polityki oraz obawa przed manipulacją i to ze strony opozycji, często wspomniany 13 grudnia - wskazywa na istnienie pewnej wizji upadku "S". Jej podstawę stanowi przekonanie, że cel jest zbyt ważny, by nieostrożnym działaniem pomniejszyć szanse na jego osiągnięcie.

Cóż to za cel? W skrócie mówiąc - samorządna i niezależna Rzeczpospolita. Taki górny zamysł może się wydawać dziwny wobec "bytowych" przyczyn strajku i równie konkretnych postulatów /łącznie z postulatem relegalizacji "S" - sprawnie działającego związku zawodowego/. Należy jednak zwrócić pod uwagę, że strajki wybuchły w związku ze skrajnie trudnymi warunkami bytowania i pracy, a władza szczerząc dozór górników, rozbudowując aparat ucisku, zrobiła bardzo wiele, by zaostrić atmosferę. W takiej sytuacji rodzi się zazwyczaj tendencja do radykalizacji postaw.

Strajk w rozumieniu jego uczestników, był wstępem do rozmów, nie do rewolucji. Nikt by zresztą do strajku nie przystąpił, gdyby nie nadzieja na zawarcie porozumienia. Podobnie było w 1980 r., ale teraz, po tragedii stanu wojennego przysłaniającej sukces Sierpnia, na ugodę czekano jak na zbawienie. Osoby z zewnątrz pytano o dwie sprawy - kto jeszcze strajkuje i czy zaczęły się rozmowy, a raczej, jakie są szanse na negocjacje z prawdziwego zdarzenia.

Determinacja przejawiająca się w uoli strajkowania "do końca", "do zwycięstwa" daleka była od fanatyzmu. Górniczy nosił styliska od kilofów, w niektórych kopalniach, w miejscach, gdzie można było spodziewać się wtargnięcia ZOMO, poukładane były żurby, ale wiadano, że nie zostaną użyte. Przygotowania obronne miały dodawać ducha, szczególnie ludziom pełniącymi wartę przy bramach i przejściach odległych od cehowni. Mówiono co prawda, że przed "cywilami" /tzn. prokuratorem/ trzeba będzie się bronić, ale nigdzie nie doszło do bójki.

- Ludzie byli za oporem biernym. Brnąc zabarykadowaliśmy i tyle. Postanowiliśmy, że w razie wkroczenia sił bezpieczeństwa walki nie podejmujemy. To nie miałoby sensu. Wielu pamięta stan wojenny. Jak tu można stawiać opór uzbrojonym? Gazów /związanych by użyli. Względny moralny? Chyba tylko tyle, żeby nie narażać ludzi.

Zasady tej ściśle przestrzegano. Zdarzały się co prawda wypowiedzi, że jak co, to są materiały wybuchowe, albo że zania "te synki" zdążą pałeczki podnieść, to za trzy razy przyłoży im się "sztylem, ale ci, którzy to mówili, przyznawali byli do porządku przez rozsądniejszych. W komitetach

strajkowych nawet nie wspomiano o możliwości czynnego oporu. Gdy po rezbieniu strajków w kilku kopalniach do KS "Jastrzębia" doszła wiadomość, że milicjanci rozciągli kłódki na jednej z furtak, przewodniczący nie wydał żadnych dyspozycji.

- Horsztyli, no to dobrze. Niedługo i owoce, aż nas stępi wyślą.

Nie sposób powiedzieć, dla ilu strajkujących wypracowanie się było stanowisko oparte na głębokim przekonaniu zasadę moralną. Wskazuje się, że jedynym odcieniem spintofektury w Jastrzębiu jest komitet MWP Matki Kobiółców. "Za górę", gdyż był ich niewiele. Ale dla pozostałych nie wypracowanie przemocy wynikało jedynie z niewiary w jej skuteczność.

Niewątpliwie ważną była rola komitetu strajkowego. Od jego skuteczności zależała cała sytuacja. Interwencja. KS działał jak filtr konieczny. Tu wypracowano fałszywe informacje najpierw walczyło parę, prowadzone portretacje z dyrektorów, uspokajano co bardziej krewkich lub przerażonych.

- Farda, jak ludzie się boją, to chodzą jak na sznurkach! Dyrygowac nim można jak marionetkami.

Autorytet KS nie wynika wyłącznie z "dowodzącej roli tego ciała. Weszli w jego skład organizatorzy strajku i najlepsi fachowcy. Umiejętność kierowania ludźmi i znajomość spraw kopalni są właściwie jedynymi cechami, według których odbywa się dobór. Z nich wynika popularność i zaufanie. Jeśli ktoś nie daje sobie rady jest zastępowany przez innego. Często bez głosowania czy oficjalnej kooptacji. Raczej na zasadzie nieformalnej decyzji.

Wobec uczestników strajku nie stosowano nacisku. Został, kto chciał. W "Andaluzji", gdy na trzeci dzień ludzi zaczęło ogarniać zniechęcenie, ogłoszono, że nikogo nie będzie się zatrzymywało. Było nie przechodzić przez mur.

- Chodzi o formę. Jeśli ucieknie, to dezertor. Powinien przyjąć i powiedzieć, że odchodzi.

W "XXX-leciu", po wygwizdaniu przez załogę oświadczeniu dyrekcji, że w ciągu godziny nastąpi interwencja, zapowiedziano, że kto chce, może wyjść. Wyszło może 40-50 osób na grubo ponad tysiąc strajkujących. Trzeba przy tym pamiętać, że przez cały czas na głowy górników leciały groźby i "przestrogi". Władza straszyła strajkujących na różne sposoby - najazdy "dyktoktek" pod bramę, puszczanie z taśmy oświadczeń o nielegalności strajku, zapowiedzi powołania młodzieży do wojska.

Liczba strajkujących zależała od czasu. Na trzeci, czwarty dzień, w sobotę, niedzielę przed południem maleje - odchodzą mniej odporni, w poniedziałek rośnie - dochodzą ci, którzy jeszcze nie strajkowali. Przez cały czas trzyma się grupa najwytrwalszych.

Dla uczestników strajku jego bezpośrednie konsekwencje ekonomiczne /"utrącono miliardy złotych"/ nie mają znaczenia - jeszcze jeden propagandowy swindiel komuny. Wyśli o konsekwencjach osobistych, akwaplwie przypominanych przez władzę, starano się odsunąć na plan dalszy. Udział w strajku to zjawisko ze sfery moralności, obowiązek wobec miłośnika wynikający z oddzielenia zobowiązań - koleżeńskich, przyjacielskich, poczucia godności.

Strajkowi towarzyszyły patos, świadomość walki o wielką i świętą sprawę. Stąd biało-czerwone flagi, śpiewanie hymnu narodowego, pieśni religijnych, masa i medytatywy. Przestrzeń kopalni wypełniona jest z obawą drżeniem wstęgi, tu władza należała naprawdę do ludu. Znajduje to wyraz w poczuciu legalizmu strajkujących. Wynikał on z przestanków praktycznych /strach przez odpowiedzialność karną/, ale i "idealistycznych" - z obawy przed kompromitacją sprawy, o którą się walczy.

W "XXX-leciu" po tym, gdy dyrektor zapowiedział możliwość interwencji, ponad stu górników z przewodniczącym K.S. szło do szybu kilkaset metrów w dół, po drabinach /windy były zablokiowane/. Nieśli po dwa aparaty ucieleściowe. Prawie nie mieli żywności. Odczuli wyjścia, zapowiedzieli strajk głodowy, gdyby kolegom na górze było. Niektórzy chcieli zacząć głodówkę natychmiast. Przez jakiś czas nie odpowiadali na telefon z komitetu strajkowego. Emocje opadły. Skończyło się na tym, że na dole pozostała ograniczona, zmieniła co jakiś czas, grupa ludzi.

W "Mosszczenicy", w dniu rozbijania strajku część górników zeszła na dół. Potrzebne były dwie wizyty cieszącego się wielkim autorytetem księdza Bernarda Czernackiego, zania, po paru dniach, wyszli. Nawet w sytuacjach nie tak skrajnych wyczoławało się dystans do "reszty świata". Wyrażano go w słowach - gorzkich, wulgarnych uwagach pod adresem ucieleściarów i nie strajkujących kolegów, w pretensjach do innych zakładów o to, że nie strajkują. Nie pojawiło się jednak poczucie całkowitego wyobcowania.

Między "nami" - strajkującymi, a "tamtymi" - władzą reprezentowaną przez dyrekcję rozciąga się pole niczyje. Odbywa się na nim rozgrywka między komitetem strajkowym a kierownictwem kopalni. Stawką jest akces niestrajkujących do protestu.

"Borynia" - poniedziałek rano. Najgorsze godziny oczekiwania już minęły. Pojawia się nadzieja. Nadjeżdżają autobusy z ludźmi. Pasażerowie nie idą do kopalni. Skracają przed bramą do dyrekcji, żeby podpisać oświadczenie o gotowości do podjęcia pracy. Kilku członków komitetu, jeden z tubą, wchodzi

do córki kiedy pozbiarały parę kartek. Czyli on nigdy nie mógł jakiegos syntetycznego dzieła napisać.

Umarł w Zyrardowie w szpitalu i też bardzo ciekawa rzecz, bo tam powstałoby leżał i leżał Irzykowski. Nikt nie wiedział kto to jest. Przyszła penicylina, która go mogła uratować, bo on miał karbunkuluz. Lekarze zastanawiali się kemu dać: tu leżał bohaterowie, którzy walcyli, a tam jakiś starzec, o którym mówią, że to adwokat literatury - ale co to w ogóle znaczy. Nie dali mu penicyliny i on umarł.

/Obie jego córki żyją w Gdańsku-Wrzeszczu. Są to dwie stare panny z jedną synem. Już mają wnuki - zdaje się. Inteligentne dziewczki./

HENRYK JABŁONSKI

- bujacz straszny, historyk niezły, cynik. Jak kiedyś ja w Sejnie zaatakowałem jego "Historię PPS-u" - bo on był poproszonym piłsudczykowski - że to wszystko bujda, to on się nie zaparł wcale, tylko do mnie pomachał... Poza tym jest o nim anegdota, że on przed wojną chodził do biblioteki Wojskowego Instytutu Historycznego i kiedyś biegł korytarzem, wpadł na jakiegoś starszego pana, mało go nie przewrócił. Ten pan powiedział: "Uważaj górniarzu". A to był Piłsudski. Ktoś mówi, że to była jedyna rozmowa Jabłonskiego z Piłsudskim. Duży cynik, ale inteligentny człowiek. Bardzo się wciął Biedkowski, kiedy on został ministrem oświaty powiedział: "Przecież to jest kłamać". Zabawny człowiek, ale świnia.

ZENON KLISZKO

- to jest tragedia. Facet, który wykonał koło "Znak" i wszystkie próby dogadania się katolików z partią. Zresztą może i lepiej. Ale był to wariat ideologiczny, marksiata absolutny, przy tym szalony nerwus, krzycał, pięścią w stół walił. Ja miałem z nim szereg awantur. Zablokował mi paszport na dziesięć lat i nie wyjeżdżałem. Tak, że mam złe doświadczenia. Ale był to człowiek wierzący w marksizm... rzadki wypadek. Potworny nerwus i histeryk. Stawał go lubił, nie wiec na jakiej zasadzie. On mi kiedyś powiedział: "Co ten Wyszynski wygaduje? A co wy robicie, od czego wy jesteście?". Ja mówię: "Panie marszałku, jak by nas nie było, może by jeszcze gorzej było". A on mówi: "A jak by nas nie było, może by i Polaki nie było". O cholera! Wiele mał takie romantyczne zagrywy.

Spotykał go w Alejach, ale on na od czasu Gdańska, kiedy dał rozkaz w Gdyni do strzelania, on ma jakąś chorobę, ręce mu latają, strasznie nerwowy... Wtedy właściwie Kociołek i on wydali sprężone zarządzania. Kociołek powiedział, aby iść do pracy, a Kliszko powiedział, żeby strzelać, jeżeli tam ktoś się zjawi. No i prawda - było... Był wad

według Kisielela

nad nim w partii, wtedy podobno dostał tej choroby i dali mu spokój.

JAN JÓZEF LIPSKI - mój przyjaciel, który mnie potwornie denerwuje swoim humanizmem, demokracyzmem i nie wiem czym, frazarami. Zawsze się kłósił, ale jest to człowiek święty. Ja mu powiedziałem kiedyś: "Ty jesteś święty osioł". Ale się nie obraził. Bardzo go lubię, ale te jego "Dzień ojczyzny..." to bez sensu moim zdaniem. Ale jest to bohaterki chłopak.

MIECZYSLAW MOCZAR - postać... posiadział raczej niż postać. Był ministrem spraw wewnętrznych, gdy ja byłem posem. Między innymi Władysław Bartoszewski wystawił, bo interesowałem, gdy on nie dostawał paszportu. Chodził - był taki pęk Janio, szef gabinetu Moczara - i tłumaczył mi, że Bartoszewski, zasłużony ba w Radzie Pomocy Żydom, zaprasza go do Izraela, a on nie dostaje paszportu. Bo ciągle nie dostawał. I wreszcie dostał. Spotkałem gdzieś Moczara w Sejmie, mówił: "Bardzo panu dziękuję, widzę, że w Polsce można coś zakatwić". Moczar się okropnie skrzywił, on patrzył na mnie wrogo, powiedział: "Służba sprawą można zawsze zakatwić". I wtedy Władysław Bartoszewski powiedział: "Ja jestem służba sprawą" ministra Moczara". Jaki to był ożwiok? Ciekawy w jakiś sposób. On był inicjatorem tego, żeby akowców ukatwić, Radostkawa przyjął, szalenie się spopularyzował wśród akowców. Natomiast przepisano mu antysemitką czystką, wstąpił do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zrobili mu złą opinię. Czegoś on chciał, był to jakiś polityk. 1968 rok to była chyba jego intryga przeciwko Gomulce. Gomulka wyjechał do Bułgarii, a oni tu zrobili drażkę, żeby go oskarżyć, że on sobie nie daje rady z ulicą, ze studentami itd. Te "Dziady" to też była inscenizacja, bo Kłiszko pokazano takie przedstawienie "Dziadów", gdzie on chwila jakaś klaka klaskała, gdy na przykład było powiedziane, że z Rosji przyjeżdżają takich samych Łajdaków. Tak szereg razy i Kłiszko się okropnie zdenerwował, że to jest antysemitka. Zrobili intrygę przeciwko Dejstowski. To wszystko było inscenizacją moim zdaniem, ale młodzież nie rozumiała tego, wzięła to na serio w wielu wypadkach. Ja wtedy też podpadłem z tymi "sienniakami". Za kuliami stał Moczar, ale nie doszedł do rzędów. I jeszcze kiedy Gierek był I sekretarzem, Moczar zrobił próbę w Olsztynie. Na własną rękę zwołał wojewódzkich sekretarzy, takie plenum zrobił, ale Gierek się zorientował, przyjechał na czas. Wywalił Moczara, niszczył szlachcica. I skończyła się kariera. Ale on chciał dojść do szczytów góry chyba.

na dach przy portierni. Na dole "obstawa" obserwuje, czy ORMO nie szykuje jakiejś pułapki. Zaczyna się agitacja - "kole-dzy", przyłączcie się", "walczymy o wspólną sprawę". Z dachu padają słowa o solidarności, o tym, że nie ma się czego bać...

Z agitatorami konkuruje dyrekcja. Odtwarzany w kółko z taśmy apel o nielegalności, konsekwencjach itp. początkowo niezbyt przeszkadza. Kwestie komitetu i dyrekcji padają na przemian, potem zaczynają się na siebie nakładać. Tym stoi na pozór obojętnie, ale słucha. Zaczyna reagować. Ktoś idzie w kierunku bramy, nie skręca do dyrekcji. Przechodzi przez portiernię. Owajce, że uszy puchną. Następny. Znow ktoś. Cała grupa. Oklaski zamierają. Ręce już bolą. Wszędzie ponad osiemdziesiąciu. Przy zabarykadowaniu bramie, na przuręczonej przyczepie, stoją młodzi górnicy. Rozpoznają znajomych, nawiązują ich. Tak było ustalone, że będzie się po imieniu wzywać kolegów. Może zawstydzą się i przyjdą. Czasem trudno wytrzymać.

- Ten, to najwięcej gadał /słówko/, a ten /słówko/, to się /słówko/ przestraszył /dwa słówka/.

Ktoś mówi na głos - nie krzyczy. Jakby nie był pewien, czy ma rację: "Zamistralki!" Kłmających uspokaja się.

- Nie palid, rzucicie te party. Ty! Nie klinij. Nie wolno mówić "Zamistralki". Porządnie się zachowywać. Tu wiszą flagi narodowe, co o nas pomyślał. Teraz hymn. Jeszcze raz, jeszcze raz.

Słowo "Zamistralk" pojawia się czasem, gdy już nie można się powstrzymać na widok takiego, który mocno gardłował jeszcze kilka dni temu, a teraz nie przyłączył się. Albo kiedy jest już bardzo ciężko i człowiek nie pretensje do wszystkich - o to, że się boli, że śpi na betonie, że jest brudny, zaszczony, że nie wie, co go czeka. Tam są jednak koledzy, a nie Zamistralki. Świadomość tego wpływa łagodząco na zrozumiały w trudnych warunkach dwudzielny obraz rzeczywistości. Pojawia się poczucie poświęcenia dla dobra innych. Nawet stosunek do władzy bywa niejednoznaczny.

Wyraźnie różni się pomiędzy szeroko pojętym aparatem bezpieczeństwa i administracją - tymi, którzy "robią w papierach", a tymi, którzy "robią w ludziach". Ornowcy, donosiciele, zakładowi ubeocy uważani są za pasożytów żyjących z pracy górnika. Stąd postulat zlikwidowania stawek dołowych dla siedzących na powierzchni "pasiuruchów", a wprowadzenia dla ludzi, których praca rzeczywicie przyczynia się do funkcjonowania kopalni.

Na stosunek do ZOMO składają się wspomnienia ze stanu wojennego i pogarda dla "beznóżnych batalionów". Tylko skrajna głupota może być w rozumieniu górników przyczyną służby w tej pałkarskiej formacji. Wyraźnie

odróżnia się silicją - nie będzie straszną /mundurów/; pojawia się niemal stereotyp "poczołowego dzielnicowego". No, może niezbyt poczołowego, ale za to z krótszą pałką i bez tarczy.

Zupełnie inny jest stosunek do żołnierzy. Zdarzają się wypadki ogostowania ich papierosami. Niektórzy łącznicy twierdzą, że obchowywali wojsko gazetkami dającą krótki instruktaż po przeczytaniu nad innymi. W żołnierzu, często również w młodych uczestnikach strajku, widziano zwykłego człowieka ubranego w mundur - jest tutaj, bo mu kazali.

Administracja kopalni - pertraktacje i znajomość z urzędniczymi lat powodowały, że dyrektora oceniano czasem jako przedstawiciela władzy i konkratnego człowieka. Tym bardziej, że był on skądś w jedną osobą z tamtej strony - szpicla nie widać, a ludzie w mundurach są zanadto podobni, tracą cechy indywidualne. Stosunki układały się rozmaicie. Tam, gdzie kierownictwo kopalni zachowywało się wobec strajkujących "jak ludzie", łatwo spełniało drugorzędne postulaty /np. udostępnienie radiowozu/ - natomiast pewne rozluźnienie, które mogło doprowadzić do załamania dachu oporu. Z kolei twarde postawa dyrekcji i umocniła morale strajkujących.

Prokurator traktowany był bezosobowo, jako przedstawiciel urzędu; stwierdzano, że jest i tyle.

Wyżej - to już władze centralne. Kontakt z nimi był jednostronny - za pośrednictwem telewizji. Z napięciem słuchano przemówień generała Kiszczołki, wszelkich informacji dotyczących strajków, działań rządu. Evidentna budury ludzi śmiech, ale w głębi duszy dość strach. Górnicy wychwytywali wszelkie wypowiedzi, z których można by wnioskować, że zanosi się na ugodowe rozwiązanie konfliktu i... mieli nadzieję.

Przeciwnik pozostał przeciwnikiem, ale nie demonizowano go. Czekano na podjęcie rozstrzygnięcia. Warunkiem wstępnym, w zasadzie jedynym, było przestrzeganie przez władzę zasad fair play. Zasada uczciwej gry była jednak przez władzę systematycznie łamana. Właściciel niczego innego nie można się było spodziewać, ale pewne działania przyjmowane były jako wyjątkowo złej woli - wyłączenie wody pitnej /pozostawiała niekiedy "przemysłówka"/, utrudnianie korzystania ze stołówek i próby niedopuszczenia do kopalni kądźca. Dwie pierwsze sprawy należą do prawdy do sfery czysto praktycznej, ale ostra reakcja górników - niedopuszczenie służb zabezpieczających kopalnię, oraz wspomnianie tych faktów w rozmowach z ludźmi z zewnątrz i łączenie ich z trzecią sprawą: powstrzymaniem pomocy religijnej - mogłyby wskazywać, że odbierano je w kategoriach moralnych. Pokazywały, do czego zdolna jest władza, jak dalece nie chce

porozumienia. Pozostawała de-
terminacja, walka "do końca".

Koniec

Prawie nigdzie strajk nie zakończył się dobrowolnym wyjściem górników. Niby nie użyto siły. Istotnie, w porównaniu z tym, co działo się w stanie wojennym, przy tłumieniu tego-
rocznych strajków, prawie nie stosowano przemocy. Scenariusz był prosty - wkracza "aktyw", a milicja tylko go ochrania.

Prawie nie użyto siły... W "Morcinku" zomowcy urządzili "ścieżkę zdrowia", dozór i straż przemysłowa biły i kopały modlących się górników. Z grupy zgromadzonej wokół ołtarza wy-
ciągano ludzi za włosy i wię-
ozono po ziemi. Najpierw pła-
czących - zakanalali się, będzie z nimi łatwiej. W tej kopalni było najwięcej brutalności. Zakatowano porachunki z wodą, niepokorną załogą. W "Boryni" dyrektor upadł z jakimś podej-
rzany osobnikami, a w chwili potem wkroczyła milicja. Skoń-
czyło się na rzekomo przypadko-
wym pozturchnianiu, wleczono ludzi po ziemi, ale z relacji świadków wynika, że nie znano się nad górnikami. Potem pod-
chodzili do nich sztygarcy. Mówili, że strajk już teraz wiele dał. Będą pewnie podwyż-
ki, milicjanci, jak na ich możliwości, zachowali się pow-
ściągliwie. Skandowano hasła. W pewnym momencie ktoś, ku osłu-
pieniu dozoru, miał krzyknąć:
"Gorbaczow z nami!"

Do "Manifestu" przyjechał
Lech Wałęsa z apelem o przerwa-

nie strajku. Nie poszło mu łatwo. Ci, którzy wytrzymali do końca dostali dyplomy /.../ za udział w walce o godność czło-
wieka".

Przemoczeni, brudni ołtopy z "Morcinka" szli kilkadziesiąt kilometrów polami z flagą "So-
lidarności", żeby przyłączyć się do innych strajkujących kopalni. W "Moszczenicy" ludzie chorzy, z gorączką zjeżdżali pod ziemię, by kontynuować pro-
test. Odjeżdżający z "Boryni" śpiewali "Ole, ole, ole, nie poddamy się". Niezwyčajni to ludzie - dumni ze swoich brudnych roboczych łachów i codziennej hardówki, wytrwali, gotowi do wyrzeczeń. Strajkowa-
li - innej drogi nie było, jeśli chciało się zachować god-
ność.

A reszta? Nie biorący udziału w strajku i ci, którzy z niego wyszli? Trudno ich winić. Strach jest rzeczą ludzką. Właśnie - strach, nie zaś przekonanie, że nie należy strajkować. Byli za strajkiem, ale bali się trochę bardziej niż ich koledzy.

Dziesiątki tysięcy ludzi, w których wstąpiła nadzieja. Kruche jeższe struktury samo-
organizującej się społeczności - łatwo można je zniszczyć. Wtedy znika nadzieja, którą łatwo zastępuje agresja. Może się wówczas nie znaleźć nikt, kto potrafiłby ją stłumić.

Pozostanie - jak ktoś to powiedział - palenie budynków rządowych i ciche wycie po nocach.

Jarosław Raszewski

ADOLF NOWACZYŃSKI - sławna postać, niebываła, o olbrzymim temperamencie, paszkwilant, pi-
sał znakomite napaści na różnych ludzi, kiedyś zaczął w kawiarniach wznosić okrzyki "Niesch żyje anarchizm!" Aresztowano go. Ale ponieważ ojciec był znanym radcą izby skarbowej w Krakowie i z Austriakami żył dobrze, więc skończyło się na wyjeździe. Wy-
jechał do Niemiec, no i robił różne kawały. Na przykład, przy-
szła do "Czasu" korespondencja z Monachium, z wystawy obrazów, z nazwiskami malarzy, a wszystko było wymyślone. Ani takiej wystawy, ani takich malarzy nie było, więc robił sobie kawały. Po czym zrobił się endekiem /sławna kariera endecka. Pobili go Piłsudscy, wybili mu oko. Pisał o Piłsudskim, że jest to "komediant", "brygadier" Pił-
sudaki/, znowu z kolei szalonym przeciwnikiem Piłsudskiego. Bar-
dzo antysemitka, bojowa anty-
semita. Pisał pamflety, znako-
mite zresztą. "Hańpie zwiercia-
dło" - taka znana jego... I sztuki teatralne. Specjalnie z rodziną naszą, czyli ojca, miał na pieńku, z moim stryjem Janem Augustem Kisielewskim, o którym napisał, że to jest bardziej August niż Jana August to taki blizem w cynlu. Pobili się las-
kami w teatrze. Z moim ojcem też wymienili listy z okropnymi wy-
myślaniami. Ojciec napisał o nim felieton, że żeby nie pójść do legionów, to poszedł do Wehr-
machtu. Nagle przychodzi okupa-
cja. Ja go poznałem w "Kuchni Literatów", gdzie moja żona pra-
cowała. Był szalenie miły, za-
bawny, do głowy by mi nie przy-
szło, że to jest ten Nowaczyński. Zagodny, nieśmiały nawet. Trzeba powiedzieć, że wódkę pił cały dzień, miał przy sobie taką pierścówkę, jak się dziś mówi. Zbierał materiały, miał całą tecz-
kę "Schickelgruber". Bo to mówili, że Hitler nazywał się Schickelgruber naprawdę, i on zbierał takie różne chacie. W Karolinie, gdzie dziś jest Ma-
rowska, Haberbusch i Schiller ufundowali taki dom wypoczynkowy dla pisarzy, literatów, profeso-
rów. Tam pojechał mój ojciec na dwa tygodnie. Ja przyjechałem po ojca, żeby go przywieźć do War-
szawy. Śledziły przy kolacji, gdy nagle wchodzi Nowaczyński i idzie w stronę ojca. Pomyślałem, że będzie jakaś awantura okrop-
na, już chciałem bronić. A on nagle podchodzi i mówi: "Dzień dobry, panie Izgmuncie, cieszę się, że pana widzę" - wyciągnął rękę, no więc się uściskali. Chciał zademonstrować, że już nie ma różnic w czasie okupacji. Bardzo sympatyczna postać, a w piórze okropnie był zadziorny. Autor sztuk, zresztą "Fryderyk Wielki" do dzisiaj chodzi. Teraz grają w Krakowie jego sztukę "Wiosna Ludów w cichym zakątku". Satyra na Kraków, bardzo oświe-
szająca. Umarł tuż przed powsta-
niem, jego trumnę nieśli przyja-
ciele m.in. stary Solski, który wtedy miał Bóg wie ile lat.



**STRAJK ZA NACIŚNIĘCIEM
GUZIKA**

Mówią: Józef Ignor, w-ca przewodniczący szostocińskiego MKS, Romuald Ziółkowski, przewodniczący ZKS WPKM Dąbie i Jan Pys, w-ca przewodniczący ZKS "Police" /na życzenie wymienionych brak przy wypowiedziach nazwisk wypowiadających się/oraz Andrzej Nilozanowski, członek KKN i Mieczysław Lisowski.

Zbigniew Świącki: - Od kiedy należy datować powstanie w naszym przed-
siębiorstwie tak prężnej "Solidarności"?

Rozmówca 1: Można powiedzieć, że choć zakład ma tradycje związkowe sięgające roku 80, punktem zwrotnym stały się wybory do samorządu pracow-
niczego. W marcu br. do rady pracowniczej zostało wybranych dwóch naszych przedstawicieli. I od tej pory mogliśmy zacząć działać w miarę oficjalnie, przynajmniej u nas na zajezdni w Dąbiu.

Rozmówca 2: Trzeba zaznaczyć, iż już przed wyborami był w zakładzie duch, aby coś zrobić. Istniał on już dawniej, ale ujawnił się dopiero podczas strajków w maju, czerwcu i sierpniu.

cd na s. 12

cd na s. 12

EDMUND OSNARCZYK - miał piękną kartę po wojnie, to nawet jest mój kolega z konspiracji, ponieważ byliśmy w tej samej grupie radiowej. On się ukrywał w Warszawie, bo był Polakiem z Niemiec i był zobilizowany. Po wojnie bardzo dobrze "Sprawy Polaków". Bardzo dobry publicysta, ale stponiowo zaczął się skłaniać w stronę wazeliny. Podobno wpłynął na to fakt, że mu książkę w Moskwie skonfiskowali. Najpierw napisał książkę o Ameryce, która poszła, a potem pojechał do Moskwy, napisał książkę i mu zdjęli. Wtedy się jakoś zmieścił i lawirował jako poseł, jako publicysta, korespondent, lawirował zawsze sympatycznie dla mnie. Oddalił się bardzo od nas, bo on właściwie w Tygodniku debiutował. Ale potem zaczął wracać pod wpływem błędnej polityki narodowościowej na Opolszczyźnie, na Śląsku. Zobaczył tu cały bałagan /na Warmii i Mazurach/. Najlepsi Polacy wyjechali do Niemiec. Zaczęło go to wściekać. Dziś zajmuje stanowisko opozycyjne, uważa, nie boi się.

GEN. TADEUSZ PEŁCZYŃSKI, ps. Grzegorz - właściwy dowódca i inicjator powstania, bo Bór tam wiele nie dowodził. Poznałem go dopiero w Londynie w 1957 r. Zadzwonił do mnie, że chce się spotkać. Spotkał się, a on był w ogóle oficerem z "dwójki", z wywiadu. I zaczął mnie tak wywiadowczo traktować, bo mówi: "Czy pan służył w wojsku?". Ja mówię: "Służyłem". "A w którym pułku?". "W takim i takim". "Hm, a kto to jest Turowicz?". Ja mówię: "A czy on służył w wojsku?". Ja mówię: "O ile wiem, to nie". "A dlaczego nie?". "Nie wiem, dlaczego". "A Stomma służył w wojsku?". W końcu mnie to zdenerwowało i mówię: "Panie generale, a teraz ja panu chcę zadać pytanie". A on: "Proszę bardzo". Więc ja: "Wie pan: fortepian, smoking, biblioteka po ojcu...". On mówi: "Co?". Ja: "Przypadła mi w Powatanu i chcę wiedzieć dlaczego". On się wściekł wtedy: "Bo pan jest demagog", i tak dalej. Rozstał się się niedobrze. Był to porządny człowiek, ale Warszawa zburzył jednak, co tu mówić.

RYSZARD REIFF - też Piaseckiego asystent. Jeszcze przed wojną - był młodym chłopakiem, ale właściwie w tej Konfederacji Narodu w czasie wojny wybił się jako jeden z dowódców. Oni dostali od Bora, od AK rozkaz obrony Wilna, i Konfederacja Narodów razem z AK broniła Wilna, po czym zgłosili się do dowództwa Śmieckiego, że oni chcą być współkomatantami. Przyjęto ich, urządzono bankiet, zresztą na powietrzu w lesie. Było wspaniale, wódka i wszystko, po czym weszli wszyscy do pociągu i wywieźli do Rosji. Przy czym Bolestaw był taki wzdry, że wcale nie poszedł na ten bankiet, tylko uciekł do Warszawy. Tu go aresztowano w Otwocku. Katarzyna Reiffa wywieziono i on uciekł z tego zesłania z dwoma kolegami. Przeszli kilkadziesiąt

R. 1: Dopiero jednak po uzyskaniu mandatu przedstawiciele samorządu pracowniczego przez ludzi takich jak Józef Ignor mogliśmy zacząć występować oficjalnie jako reprezentanci załogi. Strajk, który robiliśmy w maju, robiliśmy więc jako przedstawiciele załogi. Wystąpiliśmy wtedy z postulatami pluralizmu, a także jako akcja solidarnościowa ze stoczniowcami Gdańska i hutnikami Nowej Huty.

R. 2: Z tym, że nie uważamy postulatu przywrócenia "S" za postulat polityczny.

R. 1: Odnosnie majowego strajku pragnę dodać, że w maju na ogólną liczbę trzech zajezdni, dwie które stanęły, były do tego przygotowane. Prowadzono tam odpowiednio pracę z ludźmi, tak że zaowocowało to we właściwym momencie.

Z. S.: Co dawało wam taką pewność, że ci ludzie w odpowiednim czasie nie zawiodą?

R. 2: W tej chwili w każdym naszym zakładzie potrzebnych jest 3 ludzi skłonnych wziąć na swoje barki odpowiedzialność za strajk. Wszyscy bowiem myślą podobnie, ale są zastraszeni. Od zdecydowania tych działań zależy powodzenie każdej akcji.

R. 3: W maju w naszym zakładzie ludzie zaczęli rozumieć, że pozostaje im jedna tylko forma walki - strajk o "Solidarność", o gwarancję praw pracowniczych.

Z. S.: Gdzie należy szukać przyczyn takiej jednomyślności załogi? Wiadomo przecież, że charakter Waszej pracy nie sprzyja konsolidacji ludzi. Zajezdnie rozrzucone są po peryferiach miasta, a kiedy trzeba, potraficie stanąć niczym za nacisnięciem guzika.

R. 2: Przede wszystkim w pracy z ludźmi, w kontaktach z nimi żaden z nas działaczy nie unikał rozmów na nurtujące ludzi tematy. Poznawali nas, wiedzieli, gdzie nas szukać. My sami również ich szukaliśmy, odkłamywaliśmy mass-media. Trzeba podkreślić, że zasługą bezwzględnie wszystkich, całej załogi jest tak wysoki poziom odpowiedzialności za losy zakładu, kraju, robotników. Nie ma u nas żadnego pospolitego ruszenia. Trzeba ciągle być z ludźmi, bez ludzi nic się nie znaoczy.

Z. S.: Czerwiec - w miesiąc po majowych strajkach nie wyjeżdżają do pracy już wszystkie zajezdnie autobusowe. Była to reakcja na represje za maj w postaci zwolnień z pracy Józefa Ignora i Romualda Ziółkowskiego.

R. 3: Na hasło, że musimy walczyć o przywrócenie do pracy tych ludzi, którzy wielokrotnie bronili interesów pracowniczych - "stojący" powiedzieli wszyscy, nawet negatywnie ustosunkowani do "Solidarności", nawet członkowie partii.

Z. S.: W sierpniu stanęliśmy znowu...

R. 2: Miałem świadomość, że jeżeli nie zdążymy za strajkiem na czas, to Port, który już stał, może się załamać. Chodziło o akcję solidarnościową. Najpierw stanęły wszystkie zajezdnie autobusowe, później tramwajowe /z wyjątkiem jednej/.

Z. S.: Czy wszyscy zdecydowanie poparli strajki?

R. 3: W czasie ostatnich strajków w zajedni Polickiej nie chciała strajkować, oczywiście poza kadrą kierowniczą, tylko jedna osoba. W strajkach majowych do komitetu strajkowego wydziału weszli przedstawiciele wszystkich kolesek: związkowcy, partyjni, a nawet osoby pełniące funkcje kłaników kolegialnych - a więc reprezentacja całej załogi. Podobnie było w sierpniu.

R. 2: W sierpniu zaznaczył się pewien bardzo ważny akcent: poparcie naszej akcji przez członków partii. Pokazali, że jest dla nich ważny nie tyle program realizacji jakiejś utopijnej idei, ile program naprawy kraju. Tu należy szukać odbicia stwierdzenia "ta sama partia, ale nie taka sama" - robotnicy udowodnili, że są w "tej samej partii, ale nie ci sami". Tych ludzi trzeba nalezyć wyeksponować.

R. 1: W tym momencie zaistniała pomiędzy nami po prostu solidarność. Ludzie poczuli się razem.

Z. S.: W sierpniu nie stanęła tylko jedna zajezdnia tramwajowa na ogólną liczbę 6 zajezdni WPKM.

R. 2: Tam nie było odpowiednio prowadzonej pracy z ludźmi. Nie było osoby czy też grupy osób, która wzięłaby na siebie ciężar odpowiedzialności. Zresztą trzeba powiedzieć, że "bezpieka" zrobiła wszystko, aby strajk uniemożliwić. Odpowiednio inwigilowano załogę, tak że nawet ci, którzy chcieli, nie mogli niczego zrobić. Podkreślić jednak należy, że nie pobrali oni specjalnej nagrody pieniężnej przeznaczonej dla tych, co nie strajkowali w sierpniu.

Z. S.: Po ośmiu dniach strajków pozostała tylko jedna zajezdnia w Dąbiu. Pozostałe 4 zostały spacyfikowane przez ZOMO. Jaki nastrój zapanał w zakładzie?

według Kisielea

R. 1: Mieliśmy założone od początku, że w razie pacyfikacji jednej z zajezdni każdy na własną rękę przemieszcza się na teren pozostałych. W razie rozbięcia strajków we wszystkich zajezdniach mieliśmy przedostać się na teren portu i strajkować dalej. W razie zaś jego pacyfikacji pozostali nam do odrotu dwa kościoły: jeden na osiedlu Słonecznym, w pobliżu którego mieści się zajezdnia w Dabiu, a drugi - kościół św. Andrzeja Boboli, w którym zorganizowany był punkt pomocy dla strajkujących. Była nawet grupa osób zdecydowana podjąć głodówkę solidarnościową z pozostałymi strajkującymi zakładami w Polsce. Widzieliśmy ludzi, którzy małymi grupkami docierali do nas do Dabia po pacyfikacji. Szli z podniesionymi głowami, jak zwycięzcy. Ten widok tylko determinował pozostałych. Faktem jest, że wielu zastraszonych podjęło jednak pracę, ale my teraz absolutnie się od nich nie odcinamy. Różna jest bowiem wytrzymałość psychiczna ludzi. My zaś walczymy o solidarność - o solidarność w dostojnym sensie.

R. 3: Ludzie rozumieją, że mogą istnieć różne uwarunkowania życiowe, tak że wielu z tych, co wytrwali do końca, wychodzą z wyciągniętą dłonią do tych, co nie wytrzymali. Świadectwem tego, że ludzie nie czują się odrzuceni, jest to, że w chwili obecnej 90% kierowców i pracowników zaplącza technicznego złożyło akces do "Solidarności". Są w tej liczbie również członkowie PZPR.

R. 1: Sądzę, że mówiąc o ludziach z WPKM nie można pominąć osoby pana Mieczysława Lisowskiego. Jest to emerytowany nasz pracownik, organizował strajk w roku 80. Można nawet powiedzieć, że to "ojciec chrzestny" "Solidarności" szczecińskiej. W ogóle postać niesamowita. Mimo podeszłego już wieku dzielił z nami wszystkie trudy naszego strajkowego życia. Spał po godzinie na dobę w spartańskich warunkach. Kiedy zaś trzeba było, o dowolnej porze dnia i nocy zrywał się, brał samochód i jechał załatwiać sprawy, z którymi się do niego zwracano.

R. 3: Na takich ludziach opiera się "Solidarność" naszej załogi.

Andrzej Milezanowski /radca prawny WPKM od lutego 69 do października 80; w roku 1980 urlopowany do pracy w Zarządzie Regionu; po aresztowaniu 15.12.1981 r. w więzieniu otrzymał pismo dyr. WPKM rozwiązujące umowę o pracę. Obecnie członek KKW/:

Do WPKM mam szczególny stosunek emocjonalny. To, co w 1968 roku zrobiła "S" tego zakładu, to rzecz bez precedensu, zwłaszcza gdy się zważy, że to przecież w sumie 6 zajezdni, niektóre odległe od siebie o ok. 30 km. Jest prawda, że trzeciego września przemawiając do strajkującej załogi WPKM przy ulicy Struga nazwałem ją I kompanią kadrową "S". Uważam, że na to zasłużyła. Podkreślam, iż mogło dojść do tego stanu rzeczy dzięki tak ofiarnemu i zaangażowanemu członkowi jak Mieczysław Lisowski. Dla mnie Lisowski jest największym symbolem "S" w Polsce. Od lat na rzecz "S" WPKM poświęca ponad 20 godzin na dobę. To żadna pomyłka. On po prostu wcześniej wstaje. Robi wszystko - dosłownie.

Mieczysław Lisowski:

Ludzie z WPKM to ludzie twardzi, zahartowani, bo komu chce się wstać o 3 w nocy, gdy wszyscy inni śpią. Pracowałem z nimi do emerytury i teraz wciąż z nimi żyję.

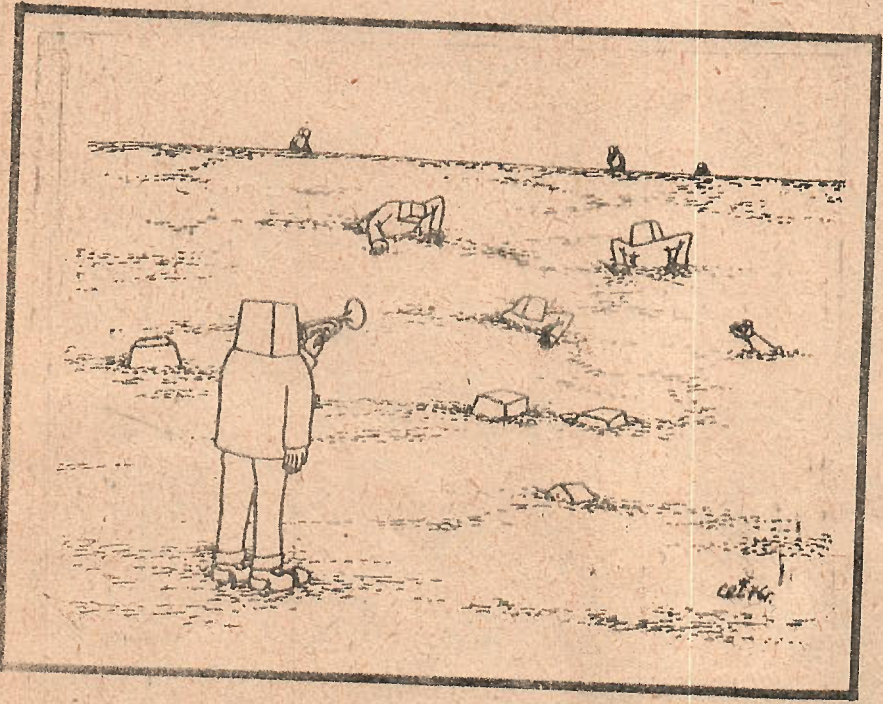
lomotrów pieszko. Wrócił do Wilna i tam go minister Wolski, który był takim starym komunistą, dziwna postać, był wtedy dyrektorem PUR-u, to był Państwowy Urząd Repatriacyjny, zalegalizował go, bo on był w Rosji pod fałszywym nazwiskiem. Wrócił do Warszawy, stał się tutaj jednym z organizatorów PAK-u. Potem bo Bolesław wysłał do Paryża - był reprezentantem PAK-u w Paryżu. No i jak wiemy, po śmierci Bolesława został prezesem. Swierzył w "Solidarność" i w przełom. Postanowił odnowić PAK całkowicie, przyznał się do wszystkich grzechów, ale krótko to trwało. Głosował przeciwko stanowi wojennemu - jeden jedyny, jako członek Rady Państwa. Potem go zewsząd wylano. Do PAK-u nie ma ustępu. Jest człowiekiem prywatnym. Postać sympatyczna. Ja mam z nim jedno wspomnienie: sprzedawał mi rower, gdy on był jeszcze w Katowicach przez pewien czas. Sprzedał mi rower, który miał defekt. Mianowicie, jak puściła gumy, trzeba było wszystko zdejmować, bo było przyszyte, o czym on nie wiedział i potem mnie okiłał. Ale jest to mój przyjaciel.

STANISŁAW STOMA

- nasz wódz polityczny "Tygodnika Powszechnego" i "Znaku". Litwin, Zaudzin, absolwent prawa w Wilnie. Bardzo inteligentny, bardzo uspołowy, czasem nie udaje mi się politycznie, ale trzeba powiedzieć, że jako prezes "Znaku", do końca trzymał fason, chociaż popatniał błędy, bo niepotrzebnie dopuścił nieodpowiednich ludzi do klubu, zresztą, jak mnie w nim już nie było. Tym wstrząśnięciem się do głosowania nad Konstytucją tak pięknie wyprzedził z Sejmu. Potem już właściwie politycznej roli nie odegrał. Był docentes, profesorem prawa. No i tej chwili jest na emeryturze, ale działa. Właściwie jeden z moich najbliższych przyjaciół politycznych.

LEOPOLD TYRMAND

- cała epopeja, mój wielki przyjaciel, zabawny chłopak, interesujący, który w ten sposób ukrywał się w czasie wojny, że pojechał na roboty do Niemiec dozwolnie. Tam był kolnerem, potem kucharczem na statku, potem jeszcze kimś. Po wojnie wrócił, ale jakoś nigdzie nie mógł znaleźć miejsca. Zaczynał w "Słowie Powszechnym" /co najjaśniejsze/. No i wreszcie przyzłusował do nas, do "Tygodnika". Pamiętam jego początki kariery, jak na przykład był szef jakiegoś wielkiego Związkiem Radzieckim chyba. Na meczu był Bierut, cały rząd miał przyjść. Otóż Nikolaiejczyk, wicepremier, wykołobinował sobie, że się spóźnił, żeby nie odosobnić, osobną owację. I rzeźwiście, jak przez głosiak, że wszedł do łóżki wicepremier Nikolaiejczyk, to stadion się zerwał z miejsc, zaczął klaskać, a w łóżki prasowej tylko jeden człowiek wstał i klaskał - to Tyrmand. I wylali go ze Stowarzyszenia Dziennikarzy zaraz, za parę dni. I w ogóle go wylawali. Mieszkał w dawnej YMCE, tu, na





Konopnickiej, w salszkiem pokoiku i demonstrował swój sprzeciw. Jak było ZNP, to on właśnie się ubierał po dżolersku, w jakieś czarwona skarpatki. Długi czas go nigdzie nie drukowali, właśnie cierpiał biedę, ale Świetnie to znosił i opisał zresztą w "Dzienniku", gdzie jest cała epopaja. Smie tam zresztą zniewał, napisał, że dębuję w nosie, co jest nieprawdą, i różne takie - ale zabawne. Jak przyszedł odwilż, napisał szybko tego "Złego" i nagle olbrzymi sukces - trzy wydania. Kupił sobie samochód, dostał mieszkanie, ożenił się i w ogóle szłać ciał, uspaniale wszystko szło. Ale dalej mu nie szło, zaczęli go bowiem niszczyć wydawcy, pani Zatorska, taka kierowniczką od wydawnictwa. Ciggle mu książkę odwalali, ale walożył. Wyjechał za granicę. "Zły" mał bardzo dużo przekładów. Napisał Świetną moim zdaniem powieść "Filip" właśnie o pobycie w Nisaczach. Ale coraz bardziej się rozgoryczał, że go nie wydają, tylko w "Tygodniku" pisywał. I wreszcie, kiedy mu odwalili powieść "Życie towarzyskie i uczniowie" - i to odwalili nie cenzura /bo cenzura to przyjęła/, lecz redaktorki z wydawnictwa. No umazały, że on obraza środowisko literackie i Szonimskiego itd. I to jedna nasza znajoma była wśród tych redaktorek. I no się tak rozgoryczył, że zahrał dupę w troki, jak to się mówi. I wyjechał. Po Europie się pikał, wreszcie w Ameryce osiadł, ciężkie tam miał poczynki, mieszkał w Harlemie, gdzieś tam wśród Murzynów, w najtańszej jakiejś dziurze. Miał pewien sukces, bo pisywał w "New Yorker" - to jest pismo o wielkim rozgłosie. Dyrektor "New Yorker" go bardzo lubił, ale ten dyrektor umarł, przyszedł syn, który był postępowy, czerwony - uzwał Tyrmanda za reakcjonistę i wyrzucił go. No więc ciggle miał on takie przeżycia. Wreszcie został wicedyrektorem inatytutu do badania spraw imigracji. Mówił Świetnie po angielsku, pisał już po angielsku. No, niestety, przestał pisać po polsku. I nagie umarł na serce na jakimś seminarium na Florydzie. Zostawił szereg książek, zupełnie niedocenionych moim zdaniem, znakomych. Ten "Filip" jest znakomity, to "Życie towarzyskie" to jest opis Warszawskiej gomulkowejkiej jakiegoś nie ma drugiego, bo i socjologiczny i psychologiczny - znakomity. Świetne nowela. Był też takim pionierem ruchu jazzowego, podziwanego. Postać bardzo ciekawa, miła. No, był zadziorny, ja się też z nim czasem kłóciłem. Aleś się w końcu lubili. Zdemoralizował moje dzieci, bo je nauczył jazzu, ciuchów kolorowych, różnych takich rzeczy. Szkoda, że umarł i to daleko od Polski. Ale ma teraz swój renesans, tu jest czytany, wydają go, było nawet wyposzum na jego temat.

JERZY URBAŃ - nie lubię, ale jest to zgodny na swój sposób socjotechnik. Tylko, że lubię i żalik. Ale dziennikarstwo zagraniczne się podoba. Wigo widocznie takiego jest, że się podoba. Ja nie gustuję specjalnie.

Ks. JÓZEF MAJKA

PRAWA OSOBY

PRZECIW PRAWOM CZŁOWIEKA

O INTEGRALNY PERSONALIZM SPOŁECZNY

Zmierzając do ukazania wpływu chrześcijaństwa na kształtowanie się kultury europejskiej, warto zwrócić uwagę na ten okres dziejów, w którym, jak w tygłu, dokonano się stopienie tych różnych elementów, z jakich kultura ta się kształtowała: średniowiecza. W oparciu o dziedzictwo kulturowe świata antycznego, objętego granicami imperium rzymskiego, kształtowały się w tym okresie trzy odrębne kręgi kulturowe: łaciński, grecki i arabski. Różnią się one oczywiście nie tylko językiem i kształtem politycznym, ale przede wszystkim kulturą etyczną, a w dalszej konsekwencji także społeczną, polityczną i gospodarczą.

Nie zajmujemy się tu bliżej arabsko-islamskim kręgiem kulturowym, choć zarówno objawienie biblijne, jak i kultura antyczna wywarła niewątpliwie wpływ na jego ukształtowanie, on zaś sam oddziaływał różnymi drogami na kształt kultury europejskiej. Uważamy natomiast, że kultura moralna kręgu grecko-bizantyjskiego wywarła głębszy wpływ na Europę zachodnią, niż się to na ogół przyjmuje; wpływ bowiem romanizmu i bizantyzyzmu przenikały się wzajemnie, tak iż próby zakreślenia ich geograficznych granic byłyby bardzo trudne. Pomimo, że te dwa kręgi kulturowe stanowią kontynuację tradycji chrześcijańskich, z etycznego punktu widzenia, zwłaszcza zaś z punktu widzenia etyki politycznej winny być traktowane oddzielnie, tworzą po prostu dwie różne tradycje.

Zanim jednak zblizujemy się do zagadnienia współoddziaływania wymienionych dwóch kręgów kulturowych, zatrzymajmy się na chwilę nad tym, co jest wspólne i co różni chrześcijańską i antyczną tradycję kultury humanistycznej. Biblijny przekaz w zakresie koncepcji człowieka i jego stosunku do Boga i świata wyraża się w formule "Imago Dei". Zasadniczo implikacje tej formuły /Rdz. 1, 27/ można ująć w następujące tezy:

a/ Świat został stworzony przez osobowego Boga, który nie jest częścią świata, ma odrębne od niego bytowanie, lecz nad nim panuje i w nim działa.

b/ Człowiek jest częścią świata, ale jego pozycja w świecie jest szczególna; został bowiem stworzony jako obraz i podobieństwo Boga /Imago Dei/, a dzięki temu ma on możliwość i moc zapanowania nad światem. Uw obraz Boży weryfikuje się w każdym poszczególnym człowieku, który obdarzony rozumnością i wolnością cieszy się godnością osobową.

c/ Świat jest w stosunku do człowieka "rzeczą", winien mu służyć, może być poznawany, zmieniany i przekształcany. Choć jest tworem i darem Boga, nie jest w stosunku do człowieka "świętą". Święty jest natomiast człowiek i nie może być traktowany jedynie jako środek w dążeniu do celu, lecz jako partner; jest on partnerem nawet dla swego Stwórcy, który zawiera z nim przymierze /Rdz. 17, 7/.

Należy jednak rozróżnić mozaistyczne rozumienie tego przymierza od jego chrześcijańskiej reinterpretacji. W rozumieniu mozaistycznym przymierze zawarte z Abrahamem, jako ojcem Izraela, dotyczy zachowania i perspektyw rozwojowych grupy, wspólnoty narodowej, zagrożonej wszak zawsze w swym istnieniu, skoro jest ono możliwe tylko w grupie i dzięki niej. W interpretacji chrześcijańskiej relacja człowieka z Bogiem jest powołaniem człowieka do doskonałości, stanowiącej swojego rodzaju konsekwencją owej formuły "Imago Dei", jest to powołanie do uczestnictwa w doskonałości samego Boga. Takie powołanie jest jak najbardziej osobiste, choć może dokonać się jedynie we wspólnotcie. Jest to więc nowe wydobycie i pokreślenie godności osobowej człowieka.

Ten obraz człowieka i świata różni się w istotny sposób od tego obrazu świata, jaki był upowszechniony w antyku grecko-rzymskim. Tu ludzie i bogowie stanowią część świata i są jego tworem, a choć ideały etyczne mają również raczej indywidualny niż społeczny charakter /Kalos kagathia, Vir fortis et strenuus/, to jednak prowadzą może do wartości transcendentálnych, ale nie do osobowego Boga. Ten obraz świata kształtuje postawę życiową ludzi antyku, zwłaszcza poglądy i zachowania etyczne niekoniecznie sprzeczne z chrześcijaństwem, co nie oznacza, że z nim całkowicie zgodne. Formalizm bowiem etyczny oraz perfekcyjizm postawy moralnych mogły być zaakceptowane przez chrześcijaństwo i znaleźć w nim swoje dopełnienie.

Etyka chrześcijańska bazuje więc w swym teoretycznym rozwoju na dorobku filozofii sokratycznej i stoickiej nawiązując do ich perfekcyjizmu, naturalizmu etycznego i przejmując aretologię Platona i Arystotelesa. W oparciu o tę strukturę wyjąłow moralności chrześcijańscy starali się zbudować swój system teologii moralnej; uzupełniają ją przede wszystkim nauka o godności osobowej człowieka, doskonałości ewangelicznej i eschatologicznym zbawieniu. Starają się równocześnie znaleźć w sobie miejsce na to, czego nie dostawało indywidualistycznej przed-

etyce starożytności, to znaczy na myślenie wspólnotowe. Idea wspólnoty jest tak istotnym elementem nauki chrześcijańskiej – stanowiąc swojego rodzaju pendant ewangelicznego przykazania miłości bliźniego z jednej strony, a teologicznego stosunku człowieka do Boga z drugiej – że nie można nie poszukiwać dla niej miejsca także w etyce, jeżeli etyka ta miałaby być autentycznie chrześcijańska. To jednak, co było niewątpliwym postulatem i tezą teologiczną, nie było łatwe do realizacji w systemie stycznym. Odpowiedniki tej idei wprowadzono stosunkowo łatwo do arystologii chrześcijańskiej /trzy onoty boskie/, znacznie trudniejsze jest znalezienie tu miejsca dla etyki społecznej i politycznej.

Podstawy takiej etyki stara się stworzyć św. Augustyn formułując koncepcję dobra wspólnego i budując na niej koncepcję społeczności politycznej, opierając się na zasadach sprawiedliwości, która nawiązuje do zawartej już w Biblii zasady, że prawo jest ponad państwem, ponad jego władzą. W oparciu o te przesłanki może już ukształtować się koncepcja prawa naturalnego i boskiego dominującego ponad wszelkimi prawami stanowionymi oraz koncepcja osobowości prawnej poszczególnych osób ludzkich, a zatem i praw osoby ludzkiej.

Chrześcijaństwo wchodzi więc w okres średniowiecza z dość dobrze zintegrowanym systemem stycznym, w którym elementy antyczne zostały jakoś związane z treścią orędzia chrześcijańskiego, a także z pewnymi podstawami etyki społecznej i politycznej, które wypracował głównie św. Augustyn.

Powtarza się dość często opinia, że trzema największymi osiągnięciami średniowiecza były: sztuka gotycka, filozofia scholastyczna i ustroj korporacyjny. Chcemy zwrócić uwagę na etyczno-społeczne aspekty tych dwóch ostatnich osiągnięć, to znaczy filozofii i ustroju:

a/ Dopracowanie koncepcji osoby /Boecjusz, św. Tomasz z Akwinu/, która ma istotne znaczenie nie tylko w filozofii człowieka, ale także w teologii, w etyce oraz w filozofii społecznej. Jest to centralne pojęcie humanizmu chrześcijańskiego.

b/ Ukazanie ścisłych związków między porządkiem stycznym i prawnym dzięki dopracowaniu humanistycznej formuły prawa naturalnego /św. Izidor z Sewilli, św. Tomasz z Akwinu/.

c/ Otwarcie drogi do skonstruowania chrześcijańskiej koncepcji państwa oraz społeczności ponadpaństwowej.

Zaprowadzenie przez system korporacyjny skutecznego i przejrzystego ładu społecznego i gospodarczego przy zachowaniu podmiotowości społecznej i gospodarczej poszczególnych ludzi żyjących i działających w ramach tego ładu.

Najważniejszą jednak osiągnięciem średniowiecza w dziedzinie moralnej jest jasna konstrukcja hierarchii wartości. Nie miejsce tu na jej szczegółowe przedstawienie w korelacji: hierarchia wartości – hierarchia konieczności, tak jak to czynią scholastycy w każdym niemal podręczniku teologii moralnej. Ogólnie rzecz ujmując jest to ustalenie priorytetu osoby przed rzeczą, pierwaszeństwem wartości duchowych przed materialnymi, opowiadania się raczej za "być", niżeli za "mieć". Taka hierarchia wartości jest wyrazem postawy personalistycznej, która w owym czasie nie była jeszcze uprzedmiotowiona tak nazywana, ale była na pewno w pełni niemal wymiarze ukształtowana.

Postawa personalistyczna łącznie z koncepcją dobra wspólnego, rozumianego jako środek realizacji dobra wszystkich osób ludzkich wchodzących w skład społeczeństwa i tworzących to społeczeństwo w procesie realizacji tegoż dobra, rozwiązują w myśli średniowiecznej problem koncepcji społeczeństwa oraz stosunku: osoba – społeczeństwo; nie znaczy to, że zostaje tu równocześnie rozwiązana problematyka państwa. Jeżeli nawet w średniowiecznej, zwłaszcza augustyńskiej, a potem tomaszowej nauce społecznej znalazły się pewne teoretyczne podstawy do jej rozwiązania, to jednak dopracowanie się praktycznych konsekwencji tych filozoficznych przesłanek okazało się bardzo trudne.

Scholastyka hiszpańska przełomu średniowiecza i czasów nowożytnych /da Vitoria, Suarez/ podjęła odważną próbę rozwiązania całości problemu: etyki państwa i społeczności międzynarodowej, a nawet ogólnoludzkiej /Orluis/; wydaje się jednak, że była już zbyt mocno obciążona balastem myślenia jurystycznego, ażeby próba ta miała się skończyć pełnym powodzeniem. Pod wpływem bowiem tego jurystyki, czytała średniowieczna koncepcja prawa naturalnego doznaje tu pewnego zaćmienia. Dość skrajnie już i radykalnie pojmowana idea suwerenności, która miała się w przyszłości jeszcze bardziej ukształtować i radykalizować, nie mogła sprzyjać takim rozwiązaniom, a nawet legła przed nimi jako nieprzekraczalna zaporą. Piasko średniowiecznych koncepcji "Sacrum imperium" i alegoryczny początek XIV wieku /słynny spór paryski/ przełom koncepcji suwerenności jako bezwzględnej całkowitości oznaczał początki przedinstawienia etyce polityki, a także gospodarstwa, miało na jakimś czasie niemal całkowicie wyciszyć chrześcijańskie koncepcje w tym zakresie: utworzył drogę makiawellizmowi w polityce i skrajnemu liberalizmowi w ekonomii.

Odrodzenia i Reformacja, które można w pewnej interpretacji odczytać jako reakcję przeciw chrześcijańskiemu uwalnianiu w kierunku autentyzmu i starotestamentalnego indywidualizmu, natrafiły w dotychczasowej chrześcijaństwie na tę lukę w rozwiązaniu problemu państwa, a w konsekwencji i stosunków: Kościół – państwo. Spory, jakie w średniowieczu wiodły te dwa instytucje, były ze strony Kościoła próbą przewyższenia na zachodzie tendencji w kierunku bizantyjskiego cesaropapizmu, ze strony natomiast państwa stanowiły próbę nie tylko rozszerzenia władzy na sferę duchową i religijną, ale też ograniczenia, a nawet likwidacji sfer sfer moralnej, której ośrodkiem starał się być Kościół uważając się za stróża moralności i rzecznika prawa naturalnego i Bożego. Walka ta

LECH WAŁESA – postać jedyna w swoim rodzaju, ciekawa. Dwa razy w życiu rozmawiałem z nim. Drugi raz niedawno, długo zresztą. Myślę, że jest to błyskotliwy człowiek, jak na takiego samouka inteligentny. Tylko może zbyt przejęty sprawami personalnymi. Wyobrażałem sobie, że tam, w Gdańsku on, gdy mówi do tych ludzi, to gra psychologicznie – trzeba powiedzieć tak, trzeba powiedzieć siak. Jest to postać z pewną charyzmą, ale czy ma polityczny program i gospodarczy, to powątpiewam. Raczej ma program swój, indywidualny. No, ale może się wyle...

KARDYNAŁ STEFAN WYSZYŃSKI

Prymas, wielka postać. Bardzo ciekawe było moje pierwsze z nim zetknięcie. Mianowicie przyjechałem do Lublina i miałem być przez niego przyjęty, przygotowano to. Powiedzieli mi, że on musiał wyjechać, ale zostawił do mnie list. I w tym liście napisał, że: "Czytam pańskie felietony, ale nie jestem ich zwolennikiem. Maroń polski ciarpiął, ma bolesne rany, a pan sobie dosypuje do tych ran. A to trzeba przeciw leczyć". No, potem jak go poznałem, tośmy właśnie na ten temat dyskutowali. Miesopodziewanie został przyśmieszony. Pamiętam, że Turowicz powiedział, że najzdolniejszą biskupem jest Wyszyński, ale skąd w Rzymie mają o nim wiedzieć. Tymczasem wiedzieli. No, duży charakter. Niezbyt lubił rzeźwił się środowisko literackie. Kiedyś był u niego Alfred Łazowski i spytał: "Czy to prawda, że emigracja nie lubi intelektualistów?". A on powiedział: "Proszę pana, za czasów Chrystusa też byli intelektualści – faryzeusze. Ale on wolał z rybakał, z celnikał, z prostymi ludźmi. czy panu to nie nie mówi?". No, rzecz ciekawa.

Prowadził Kościół dobrze. Miał twardy charakter. Jednocześnie umiał rozmawiać, umiał komunistów wprowadzać w pole. Ja pamiętam historię jak było 50-lecie "Cudu nad Wisłą". I nagle zapowiedzieli, że Wyszyński w Częstochowie wygłosi ogromne kazanie z racji rocznicy zwycięstwa nad bolszewikami. No więc tutaj UB i Urząd do Spraw Wyznań – zaczęli jeździć po diecezjach, straszyć, że jak on spróbuje coś takiego, to straszone represje spadną na Kościół. On wytrzymał i na trzy dni przed terminem ogłosił, że on nie wygłosi tego kazania, bo się rozmyślił. Ale ich zdenerwował, miał szereg takich posunięć. I w końcu został doświadczony przez komunistów, zaczęło się porozumienie. Kiedyś mówiono, że Wojtyła postępowy w Krakowie, a Wyszyński reakcyjny. A potem okazało się przeciwnie: Wojtyła komopolita i wróg, a Wyszyński narodowy, demokratyczny, ludowy. No, jak Wojtyła został papieżem sytuacja się wyjaśniła. Niedługo już pożył Wyszyński.

według Kisielela

Mnie się podobało, że on miał poczucie humoru. Mnie robił z tego dużego użytku, ale pamiętam kiedyś, jak zaprosił posłów koła "Znak" do Lasek, urządził, takie rekolekcje swojego rodzaju. Potem przemawiał i mówi, że Polska jest od kilkuset lat pod specjalną opieką Matki Bożej, a ja się nachylałem do Stomny i mówię szepsem, że coś nie bardzo Polska wyszła na tej opiece. A on patrzy na mnie, już wiedział co ja mówię. Mówi: "Pan chce żebym pana wyklął, a ja nie. Ja wiem co pan powiedział". Jednak miał swój humor. Była to wybitna postać.

WACŁAW ZBYSZEWSKI

- znakomity publicysta, erudyta, poliglota, tak szlachetnie kresowy, brat Karola, pracownik NSZ przed wojną. W czasie wojny w Londynie w radio, a po wojnie w "Wolnej Europie", ale w Paryżu. Pamiętam Amieszną historię z nim. Mianowicie był proces Rousseau. /Taki dziennikarz - napisał, że w Rosji były obcy koncentracyjne i "L'Humanite" napisała - to było w latach 50-tych - że to jest kłamstwo i wysłał. On ich podał do sądu i powołał masę świadków różnych narodowości. Hiszpańskich oficerów z czerwonej Hiszpanii, których zamknięto tam, najrozmaitszych facetów. No i potrzeba było tłumaczy. Ogłoszenie było, że poszukuje się tłumaczy na ten proces i zgłosił się Zbyszewski, który nigdy nie miał pieniędzy, chociaż był bardzo wykształcony, a tam siedzi mały garbaty Zydek, sekretarz Trybunału po polsku mówiący i mówi do niego: "A pan szanowny jakim językiem włada?". On mówi: "Polski, rosyjski, niemiecki, francuski, angielski, hiszpański perfekty, portugalski trochę gorzej, holenderski..." A taatem mówi: "No a jidysz?". "No, jidysz nie". To taaten: "Ja rozumiem, pan zapomniał". Bardzo zabawne.

Umarł niedawno. Moja żona go bardzo lubiła. To był gawędziarz. W "Wolnej Europie" miał takie różne gawędy krajoznawcze o Francji. Mieszkał w walechach hoteliku, w strasznych warunkach. Właściwie ustęp na korytarzu, bez pieniędzy. A był to facet o olbrzymich kwalifikacjach i naukowych i językowych. Taki los.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

- mój kolega z Uniwersytetu, znał go ze 50 lat. Rzeczywiście był jednym z rzadkich komunistów deklarowanych na Uniwersytecie i przy tym przebiegła kole polonistyk, co było rzadkością wtedy, bo przeważnie endecja. OHR-owcy trzymali te wszystkie koła. On został wybrany przezeń. Pamiętam, że przychodzę na zebranie i widzę, że stoi Żółkiewski i jeszcze zbucha i coś manowuruje przy drzwiach i słyszę jak mówi: "Tu zamkniesz na klucz, ogłosimy, zania przejdą naokoło, to przegłosujemy". A to był taki wniosek, że głosują tylko ci, co mają stempiowane legitymacje, coś takiego i taki manewr, żeby

cd. na s. 17

była prowadzona początkowo i na wschodzie /św. Jan Chryzostom/, i na zachodzie /św. Ambroży/, ale na wschodzie została ona ostatecznie przez Kościół przegrana; na zachodzie była prowadzona ze zmiennym szczęściem: załamała się w krajach protestanckich, trwała zaś dalej w krajach katolickich.

Mie na potrzeby zatrzymać się tu nad znaną dyskusją na temat wpływu protestantyzmu na rozwój ducha kapitalizmu /M. Weber, Tawney, Panfani i inni/, na uwagę zasługuje natomiast problem związku między protestantyzmem a absolutyzmem oraz koaliczmem państwowym /Schmidtohen/. Mechanizm tego wpływu jest niewątpliwie dość złożony, ale wystarczy wskazać tu na jego ogólne linie.

Protestanci reformatorzy /zwłaszcza Kalwin/, pozostając pod wpływem starotestamentalnego ducha teokracji, uważają państwo za najdoskonalszy twór Boży, głoszą teorię boskiego pochodzenia władzy, a przez to samo dołączają niejako do bizantyjskiego ducha ceszaropapizmu. Idea ta stawia więc państwo poza wszelką krytykę, identyfikuje Kościół z państwem, a właściwie, likwiduje go na rzecz państwa, które przejmując jego funkcje. Romantyzm dobudowuje tu niejako koncepcję narodu i owocuje hegeliańską ideą Absolutu, realizującego się najdoskonalej w państwie pruskim. Znalezliśmy się zatem bardzo szybko w samym sercu światłego absolutyzmu, ale także faszystowskiego hitlerizmu, a nawet marksizmu.

Idywidualizm filozoficzno-społeczny i bazujący na nim liberalizm polityczny wydają się wprawdzie przeciwstawieniem tych tendencji, ale przy bliższej analizie przeciwstawienie to okazuje się pozorne. Mie wszyscy uprządie, tak jak Hobbes, wprost z tego o podstawowej wolności człowieka i konieczności umowy społecznej wywodzą postulat władzy absolutnej, ale głoszona przez wszystkich liberałów teza o suwerenności ludu, który jest źródłem władzy, nie implikuje ani teoretycznych, ani praktycznych podstaw do jej ograniczenia, choć daje może w pewnej interpretacji podatwy do jej obalenia. Teza o suwerenności ludu implikuje bowiem twierdzenie, że państwo jest ponad prawem, z czego wynika, że nie ma prawnego środka przeciwstawienia się władzy. Zasada ta przyniosła w historii Europy straszliwe skutki. Samiśmy ich doświadczymy i dlatego łatwiej nam dzisiaj zrozumieć, dlaczego niektórzy katolicyści działacze społeczni /hp Ketteler/ tak namiętnie zwalczali "obłąkę liberalizmu".

Reformacja i rozwój liberalizmu były więc nie tylko i nie tyle kłęką Kościoła, ale także kłęką samego chrześcijaństwa. Zadczydowały bowiem o rozwoju partykularyzmów i antagonizmów, a nawet nienawidzi nacjonalistycznych i klasowych. Wysilki chrześcijaństwa, zmierzające w kierunku zbudowania jedności europejskiej, zabiegi o pokój polityczny i społeczny, o realizację cywilizacji miłości zostały w dużej mierze i na długie przekreślone. Nauka biblijna o godności człowieka, o jego szczególnej pozycji w życiu społecznym, o prymacie osoby i wartości moralnych została w szerokich kręgach społeczeństw europejskich zapomniana lub wypaczona.

Stwierdzeniem tym wydają się przeczyć fakty, że przecież w tym czasie, w wieku XVIII i XIX aż po XX, nie brakowało różnego rodzaju deklaracji wolnościowych, nie mało się też mówiło o prawach człowieka; wysilki choćby deklaracje amerykańskie, francuskie czy /z górą sto lat później/ radziecką, nie zawsze jednak zwraca się uwagę na to, że deklaracje te miały charakter polityczny, a nawet klasowy; nie można w każdym razie mówić o ich poważności, przeciwnie, są zawsze przeciw komuś wymierzone: amerykańskie przeciw Anglikom, francuska przeciw "ancien regime'owi", a w pewnym sensie także przeciw chłopom, radziecka przeciw caratowi oraz porządkowi feudalno-burżuazyjnemu. Brak im było tak istotnej cechy, jak powszechność, a wolność nie jest przecież wolnością, jeżeli nie jest powszechna.

Kłęką chrześcijaństwa nie oznaczała, rzecz jasna, zaniku tradycji chrześcijańskich, chrześcijańskiego wyślenia etycznego ani nawet chrześcijańskich postaw w życiu indywidualnym i społecznym. Chodziło raczej o łatotne ograniczenie wpływu chrześcijaństwa na życie polityczne i gospodarcze, o to, że te dziedziny życia nie poddały się zasadom Ewangelii i oddziaływaniu chrześcijańskiej kultury etycznej. Prawdą jest zapewne i to, że rozwój tych zasad i tej kultury nie nadążył za szybko rozwijającą się gospodarczym i politycznym. Wiek XIX usiłuje nadrobić to opóźnienie: chrześcijańscy teoretycy etyki i prawa, ekonomii i polityki nienal gorączkowo poszukują z jednej strony dróg powrotu do źródeł, z drugiej natomiast - nowych ujęć rzeczywistości i nowych rozwiązań praktycznych.

Poszukiwania te zaowocowały encykliką "Rerum novarum" /1891/, ale się na niej nie zatrzymały, zwłaszcza że tempo przemian atako się coraz szybciej. Nawigujące głównie do nauki św. Tomasza z Akwinu oraz jego personalistycznej i uniwersalistycznej zarazem koncepcji człowieka i społeczeństwa wypracowano integralną teorię humanizmu chrześcijańskiego /Maritain/, na której opiera się integralna teoria ładu społecznego, obejmująca wszystkie szczeble więzi społecznych i wszystkie rodzaje wspólnot: od rodziny aż do wspólnoty ogólnoludzkiej. Podatwą tego ładu jest afirmacja godności osoby ludzkiej oraz praw osobowych człowieka, rozumianych jako własność formalny wprowadzony z prawa naturalnego, którego pierwszym i podatwowym podmiotem jest każdy człowiek konkretnie bytujący na naszym globie, niezależnie od wszelkich różnicowań, jakie zachodzą lub mogą zachodzić między ludźmi.

Doktryna ta znalazła wyraz nie tylko w publikacjach katolickich filozofów społecznych z Jakubem Maritainem na czele, ale także w nauce oficjalnej Kościoła, głoszonej przez Piusa XII oraz jego następców: Jana XXIII, Pawła VI i Jana Pawła II. Rozwój nauki Kościoła zbiega się zapewne nieprzypadkowo z rozwojem świadomości etycznej w dziedzinie społecznej, gospodarczej i politycznej. Złożyły się na to doświadczenia drugiej wojny światowej, wzrost społecznych, gospodarczych i politycznych za-

groźń, wobec jakich stoi współczesny człowiek, a także obok działalności Kościoła oddziaływanie ONZ oraz jego wyspecjalizowanych organizacji. Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że niektóre przynajmniej dokumenty ONZ oraz wymienionych organizacji są w swej treści, a przynajmniej w wielu swych sformułowaniach bliskie koncepcjom personalistycznym. Dotyczy to w szczególności Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka /1948/, którą bez trudności można interpretować w duchu personalistycznym i uniwersalistycznym, choć nie wszystkie dokumenty ONZ, które na tej Deklaracji niejako bazują i mają na celu ochronę praw osoby ludzkiej, są wyrazem takiej właśnie interpretacji. Zaciążyła na nich bowiem w dużym stopniu przestarzała koncepcja państwa oraz sztywna formuła suwerenności państwowej.

Dotyczy to także wysiłków ONZ oraz organizacji wyspecjalizowanych, zmierzających do tego, co nazywa się niekiedy promocją ludzką /promotion humaine/, której wyraźnie przyświecają ideały poszanowania godności każdego człowieka, a przynajmniej realnej troski o jego dobro. Nie można oczywiście nie dostrzegać tego, że do owego powrotu etyki i zasad etycznych do życia publicznego przyczyniły się w ogromnym stopniu chrześcijańskie tradycje etyczne, przechowywane przez wspólnoty rodzinne, kościoły i kongregacje religijne oraz różnego rodzaju stowarzyszenia humanitarne i humanistyczne. Tradycje te ożyły niejako w obliczu niebezpieczeństw zagrażających człowiekowi i samemu człowieczeństwu. Niemalą rolę odegrały tu także niektóre kierunki socjalistyczne oraz idee państwa opiekuńczego, opierające się na przesłankach humanitarnych.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że wszystkie te czynniki oddziałują jednokierunkowo i że muszą, a nawet mogą połączyć się w jedno. Pojęcie humanizmu jest niejednoznaczne, a jego ideały są tak różne, że w wielu dziedzinach zupełnie rozbieżne. Wiadomo, że humanizmy kolektywistyczne gotowe są widzieć konkretnego człowieka jako środek do realizacji celów kolektywu; wiadomo, że humanizmy kulturowe wyżej niekiedy cenią wytwory człowieka od niego samego. Opowiadamy się za humanizmem konkretnym, to znaczy takim, dla którego najwyższą wartością jest każdy człowiek, odnajdujący godność osoby ludzkiej w każdym poszczególnym człowieku.

Autentyczna rekonstrukcja takiego humanizmu z wszystkimi jej społecznymi, gospodarczymi i politycznymi konsekwencjami, a zwłaszcza praktyczna jego realizacja jest możliwa tylko wtedy, kiedy w każdym człowieku potrafimy odnaleźć ów pierwotny obraz Boga - Imago Dei.

Wydaje się, że narody europejskie dzięki swoim chrześcijańskim tradycjom, a także dzięki swoim wielowiekowym doświadczeniom, dzięki całej tej trudnej drodze prób i błędów, jaką przeszły, dzięki temu wreszcie, że doświadczyły tragicznych skutków owych prób i błędów, powinny być zdolne do głębokich przemyśleń swych historycznych doświadczeń, do ponownej krytycznej analizy doktryn, jakie stworzyły i jakimi żyły i do stworzenia nowej cywilizacji humanistycznej. Cywilizacja ta musiałaby być cywilizacją personalistyczną i uniwersalistyczną zarazem. Winna to być cywilizacja miłości. Pielgrzymki duszpasterskie Jana Pawła II są właśnie próbą obudzenia sumień, przywrócenia etyce chrześcijańskiej i nauce ewangelicznej należnej jej rangi w życiu narodów, zasłania ziaren, z których mogłaby zakiełkować taka właśnie nowa cywilizacja.

Ks. Józef Majka



opozycja nie zdążyła wejść. Tak w Polsce konstytucję uchwalano, zdaje się. Potem byłem z nim w Legionie Młodych, już wtedy komunizował i ja z nim toczyłem ciężkie boje. On już wtedy był socrealistą, całe wykłady robił i chciał przeformować program kulturalny Legionu Młodych taki zupełnie materialistyczny i komunistyczny, że sztuka służy społecznej sprawie rewolucji i tak dalej. Ja się sprzeciwiłem. To nie przeszło w końcu. Pamiętam długie dyskusje. A potem Legion Młodych został uspokojony, Sławek wyrzucił Zapasiewiczą - "czerwonego komendanta" i Zólkiewski ustąpił, i Jędrzychowski. Człowiek wierny sobie, przyzwyczajony, ale maniak materializmu. Udający erudyte.

ANEKS: KISIEL O SOBIE

Uważam, że książki powinny mówić i artykuły, co ja mam adwici. Ja mogę tylko powiedzieć, że - odpukać - miałem dużo szczęścia. Ja w ogóle uważałem, że tu będzie siedemnasta republika sowiecka. Byłem o tym przekonany. Jak przyszedłem do Warszawy ze Skierniewic i zobaczyłem na Krakowskim. Przedwieściu wyrwany bruk, siedzą woźnicy żołnierze, ogień się pali, śpiewają, coś tam gotują, żołnierki kierują ruchem. Ja myślałem - to już koniec. Tymczasem okazuje się, że jakis tam Mikolajczyk przyjeżdża, że jakis rozmowy. Przyjeżdżam do Krakowa, wżwał mnie rektor Drzewiecki do Szkoły Muzycznej. Ze Skierniewic do Krakowa 24 godziny się jechało wtedy, i ponieważ tunel był zawalony to przed Tunelem nas wysadzili. Bolazewicy kazali popracować, kopalimy ziemię parę godzin, potem dali wszystkim zupę i przewieźli ciężarówkami na drugą stronę. Przyjechałem do Krakowa, nocowałem u Miłosza no i nagle widzę - to właściwie Europa jest. "Przekrój" wychodzi, znajomi. A potem "Tygodnik Powszechny" - to już w ogóle niebywała rzecz, aż, no i miałem szczęście, że tam trafiłem i to było wtedy jedyne co można było robić, coś niezależnego. Sapieha to swoimi skrzydłami pokrywał. Zaczął się ruch opozycji oficjalnej, walki lewej, Mikolajczyk, ale w to ja nie wierzyłem, żeby to dało rezultat. Natomiast Kościół jednak chronił część inteligencji twórczej. Więc miałem szczęście.

Dzięki temu, że długo pisałem, że przeżyłem, że trafiłem w dobre grono. że potem umarł Stalin, no bo gdyby nie umarł to diabeł wie co by było, no i potem Październik. Jakoś się to wszystko układało, że człowiek płynął i zrobił sobie renowę, ale to jest przypadek, mogło się inaczej skończyć. Ja miałem do Katowic pojechać, tam bym w muzyce jakiejś pracował i byłbym nieznanym człowiekiem. Miałem szczęście. Można nazwać to też przypadkiem. Ja pamiętam, jeszcze w Skierniewicach - powiedziałem to kiedyś w odczytaniu - wpadła mi w ręce taka książka "Drugie cesarstwo", nie pamiętam

według Kisielela

autora, angielska książka i tam było o Rochefortcie, to był taki sławny dziennikarz za Napoleona III, za którego była tępą dyktatura, ale ludzi nie zabijali, tylko była cenzura i tak dalej. Ten Rochefort zwalczał Napoleona III, a że nie mógł tego zrobić wprost, więc pisał takie recenzje teatralne, gdzie zjeżdżał na przykład aktorów, których cesarzowa lubiła, opluwał sztuki, które cesarz protegował - co wszyscy wiedzieli, więc cały Paryż się śmiał, że to właściwie nie jest recenzja, tylko bije cesarza. No i zrobił karierę. Ja sobie pomyślałem, że dobrze byłoby być takim Rochefortem jak przyjdzie Polska komunistyczna. Prawie się udało...

Czy trudno być Kisielelem?
Bo ja wiem. Teraz już łatwo. Można nic nie robić i to samo niesie. Ja pamiętam taką historię, to było w 1955 roku kiedy "Po prostu" zaczęło zalecać, a my w Krakowie nic. "Tygodnika" nie było, nic się nie działo. Ja przyjeżdżam do Warszawy, poszedłem do SPATIF-u. Jest Henryk Tomaszewski - plastyk, dekorator. Myśmy się napili wódki, jeszcze wtedy byliśmy na "pan". Ja mówię "Wie pan co, ja już nie mogę siedzieć w tym Krakowie i w tej opozycji, i w tej redakcji, to nudne piekielnie, ja się chcę tu włączyć". A on przede mną ukląkł i mówi: "Ja pana błagam, niech się pan w nic nie włącza, samo pana wyniesie, tylko niech pan rok poczeka". I po roku rzeczyszcie, spotykam go, mówię: "Pan jest geniuszem", wypiliśmy bruderzaka. Po czym spotyka mnie znów za dwa lata chyba: "No i co żeście zrobili w tym Sejmie? Nic, wykuli was i zrobili w konia. A masz chociaż mieszkanie w Warszawie?". Ja mówię: "Nie mam, mieszkam w Krakowie". To on: "Coś ty zwarłował, to jedź do Cyrankiewicza, za rok ci już nie da, to jest ostatnia chwila". No to poszedłem i dał. Czyli że same procractwa.

Atakowano mnie nieraz. Właściwie z wściekłością to tylko Górnicki mnie objechał, zresztą kiedyś taki mój niby zwolennik. Dużo razy mnie opieprzył, ale to raczej reklama. To kaupania w 1968 roku, ten Gontarz - to już straszne. To były łgarstwa okropne, no ale Jasienica ucierpiał wtedy gorzej niż ja, więc się pocieszyłem. Ale na dobre wychodziły te wyświechtania, bo była reklama. Najgorzej było zastosować "nie szewicz" wobec absolutnie cięta normalnego człowieka, nie wydrakuj. Nie wykonuje pracy - nie wolno, nie istnieje. I to parę lat było trwałe.

Czy wielki wpływ na bieg wydarzeń? Nie wiem, ale na psychikę wielu ludzi wpływało. A co do biegu wydarzeń - myślałem, że teraz coś z moich wybitnie się potęgowało, że wyznaczał taki program, że sytuacja geopolityczna się nie zmieni, przy Rosji musimy zostać, natomiast ten ostrój jest dla Polaki nieodpowiadający, przynosi szkody, trzeba go zmienić. Nawet nie zmieniając nazwy. Chyba w tym kierunku nowolotka idzie.

Stefan Kisielewski

POLSKIE STRONNICTWO LUDOWE wobec ZSRR

Omówienie stosunku PSL do Związku Radzieckiego z kilku przyczyn jest rzeczą trudną. Zainteresowanie stosunkami międzynarodowymi grało minimalną rolę w ugrupowaniach chłopskich do okresu międzywojennego włącznie. Lektura programów stronnictwa ludowych przekonuje, że problem ten albo nie był uwzględniany w ogóle, albo pojawił się jako sztuczny dodatek, słabo związany z resztą doktryny. Drugą trudność stanowi kontynuacja tej samej postawy w latach 1945-1947, kiedy to sprawę polityki zagranicznej podejmowano co prawda zęściej, lecz niemal wyłącznie w kontekście znacznie bardziej istotnych kontrowersji wewnętrznych. Trzecie utrudnienie odnosi się do specyfiki działalności PSL w okresie Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej /28 VI 1945-8 II 1947/, kiedy to formalnie uczestniczące w koalicji rządowej, Stronnictwo musiało liczyć się z ostrą cenzurą przewencyjną, chętnie podejmującą także anuncjacje o polityce zagranicznej. Ważna wydaje się wreszcie rozróżnienie taktyki Mikołajczyka /który sprawę zagraniczną prawie zmonopolizował / i reszty działaczy ludowych; na problem ten nakłada się brak badań nad postawami szerszych warstw aktywu i członków. Wiemy niewiele i warto jednak przypomnieć o sprawach podstawowych.

Ewolucja programowa podziemnego SL "Roch" i Komitetu Zagranicznego SL w Londynie w latach 1939-1944 zaznaczyła się wyraźnie w jednym punkcie: stosunku do ZSRR. Odrzucając ideologiczne podstawy komunizmu, członkowie działacze ludowi w kraju i na emigracji w latach 1941-1944 coraz bardziej zbliżali się do myśli, że ułożenie stosunków ze Związkiem Radzieckim jest kluczowym problemem Polski powojennej. Ewolucja stała się widoczna szczególnie w ostatnim roku wojny: o ile jeszcze w 1943 r. deklaracja programowa SL "Roch" zawierała zdania powrotu do granicy ryskiej jako spełnienia naszych najskrajniejszych pragnień, o tyle wiosną 1944 r. charakter postulatów ludowców wobec ZSRR zmienił się zasadniczo. Jednym z działaczy SL "Roch" już w lutym zdecydowali się na akceptację postanowień jaltaskich, godząc się tym samym na utratę ziem zachodnich. Kwessją dyskusyjną był w tym okresie jedynie zasięg przeszerzanej granicy: część aktywu jeszcze w czerwcu 1945 r. miała nadzieję na utrzymanie Lwowa i Zagłębia naftowego.

Podatną ewolucję przeszedł ludowcy na emigracji. Piasko dwóch moskiewskich misji Mikołajczyka /w sierpniu i październiku 1944 r./ przekonało zarządca prezesa SL, jak i jego najbliższych współpracowników, że - wobec braku poparcia aliantów zachodnich - podtrzymywanie postulatów granicznych musi zakończyć się klęską. W negocjacji

czach moskiewskich w czerwcu 1945 r. sprawa Lwowa nie została już podniesiona.

Od mocarstw zachodnich oczekiwano w 1945 r. pomocy w stabilizacji zewnętrznej /uznanie rządu i granic/ i wewnętrznej /repatriacja, pomoc gospodarcza/, która umożliwiłaby miarę nadmierne przedłużanie pobytu wojsk radzieckich w Polsce. Od Związku Radzieckiego oczekiwano woli uczestnictwa w sojuszu równoprawnych partnerów, opartego na pełnym poszanowaniu polskiej suwerenności. W zamian deklarowano chęć lojalnej współpracy. Sprawa porozumienia z Sowietami - mówił na naradzie w lipcu 1945 r. dr Władysław Kłernik - była w SL gruntuem rozpracowana. Zdawaliśmy sobie sprawę, że w wyniku tej wojny Sowiety wyjdą zwycięsko i siła ich zaciąży nad losami Polski. My, jako SL staliśmy stale na froncie antysemickim, z drugiej strony zawsze wyrażaliśmy gotowość nawiązania bliższych i przyjaznych stosunków z Rosją Radziecką. Wychodząc z tej podstawowej przesłanki, ludowcy zgodzili się na wopółdziałanie z RTJN, akceptując tym samym, iż Rosjanie chcą mieć gwarancje, że rząd w Polsce będzie prowadził politykę przyjaźni z nimi. Porozumienie w Moskwie - kontynuował Kłernik - przynosi nam dużo. Wnieśliśmy wiano uznania RTJN przez cały świat, usunęliśmy dwoistość rządów i armii. Sojusz Polski ze Związkiem Radzieckim nie zawiera nic upokarzającego, a to, że dziś na naszym terytorium pozostają jeszcze wojska czerwane i MKWD, to są fakty nieuniknione, wynikiem siły rzeczy.

Realizacja, choć budowania przywierza i przyjaźni, konieczność zamknięcia sporów przeszłości - wszystkie te elementy odnajdujemy w programie PSL ze stycznia 1946 r., w licznych wypowiedziach Mikołajczyka i posłów PSL w KRN, wreszcie w artykułach organu Stronnictwa, *Gazecie Ludowej*. Prowadnie stosunku do polityki zagranicznej wyłącznie na podstawie dokumentów oficjalnych byłoby jednak ryzykowne, bowiem zgodziliśmy się włączyć się ściśle z dominującą w Stronnictwie postacią Stanisława Mikołajczyka.

Prezes PSL nie miał w szeregach opozycji poważnych konkurentów: chronicznie aktywnie kierownictwo ludowców w kraju nie wyłoniło żadnych szeregów zdolnych do polityki większego formatu, podobnie ukazywały się stosunki na emigracji. Mikołajczyk natomiast zrobił w Londynie karierę: powołany z klucza partyjnego na stanowisko wicepreziera i ministra spraw wewnętrznych w gabinecie Władysława Sikorskiego /1941-1943/, awansował po śmierci generała na stanowisko faktycznego szefa państwa. Fatalne często stosunki nowego preziera z innymi politykami emigracyjnymi były w kraju rzeczą mało znaną, liczyły się natomiast wieści o osobistych kontaktach Mikołajczyka

OSKAR STANISŁAW CZARNIK LWOWSKI LISTOPAD

z Churchilem, Rooseveltem i Stalim, aura urzędu i rola przywódcy PSL jako uosobienie państwowości polskiej. Gdy wracał do kraju w sierpniu 1945 r., w jego osobie ześrodkowały się nadzieje wszystkich, którzy chcieli Polski niekomunistycznej; Mikołajczyk zaś nie musiał zdawać sprawy z okresu premierostwa, nie musiał poddawać się ani ocenie parlamentu, ani formalnie funkcjonującej opinii publicznej. Wśród niezłomnych na emigracji i tak uchodził za zdradę, repatrienci z Zachodu w ogromnej większości popierali go. W kraju zaś widziano w nim męża opatrnościowego.

Trzeba stwierdzić, że co do spraw nas interesujących był Mikołajczyk politykiem kompetentnym. Poczucie misji dziejowej łączył ze sporą aurytatem i obywcem za ganioł. Był najbardziej znany na Zachodzie politykiem polskim, oceniono go również w ministerstwach spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii i USA. Latem 1945 r. miał nie tylko wszechstronne przekonanie - wszelkie szanse, by jako przywódca potężnej opozycji zawrócić Polskę z drogi sowieckizacji. Powszechnie było przekonanie, że wolne i nieskrępowane wybory przyniosą PSL bezwzględnie większość mandatów w sejmie, większość na tyle stabilną, że Mikołajczyk będzie mógł udzielić partiom PKW gwarancji dalszego uczestnictwa w rządzie. Oczywiście, propozycja takich gwarancji - przypominających układ sił na Węgrzech po wyborach z listopada 1945 r. - nie wynikała z sympatii prezesa PSL do PPR. Decydujący czynnik w kalkulacji Mikołajczyka były bowiem nie komuniści polscy, lecz Moskwa. /.../ Stalin, mając do wyboru między komunistyczną mniejszością wobec której ludność nastawiona jest wrogo, albo rządziłi ludzi, którzy sąją za sobą większość, a równocześnie są gotowi do prowadzenia polityki sojuszu, może oznaczyć jego interesie leży, to drugie - tłumaczył w lipcu 1944 r. ówczesny premier emigracyjny z i do Warszawy, Janowi Nowakowi - widzę więc pewną możliwość, że za cenę zrezygnowania z naszej suwerenności i podporządkowania się Rosji w polityce zagranicznej, możemy uratować wolność wewnętrzna życia politycznego.

Nadzieje Mikołajczyka opierały się na założeniu, że Moskwa nie dąży do przeniesienia na teren Polski swego wzorca ustrojowego i zadowolony się w obliczu potencjalnie katastrofalnych skutków sowieckizacji Polski chodzący dla zachodnich partii komunistycznych - sukcesem częściowym, określonym później czysto wianca inflacyjną. Gdyby koncepcja ta okazała się trafna, oznaczałaby ona daleko idące ograniczenie roli PRL. Stąd też propaganda komunistyczna od początku starała się wykazać, że intencje PSL i jego przywódcy są niszczone wewnątrz w punkcie, na którym zasadzała się cała koncepcja: zwalony atomiku społeczeństwa polskiego do ZSRR. Przyszłość i antyradzieckość stały się podstawowymi zarzutami, wyawianymi wobec opozycji. Ona podnoszone były przez Władysława Gomułkę, Romana Zambrowskiego czy Romana Werfela - by wymienić tylko najbardziej aktywnych krytyków - niezliczoną ilość razy. Nigdy nie dotyczyły one enuncjacji programowych. Przyszłość lub pretekstem by

najczęściej artykuły *Gazety Ludowej*, stosunkowo rzadziej wypowiedzi działaczy ludowych z terenu. Kontrargumentacja przywódców PSL nigdy nie przekonała oponentów, wręcz przeciwnie, kolejne miesiące 1946 r. przyniosły oskarżenia oraz ostrzeżenia, coraz bliższe tezie o zdradzie stanu. Nietrudno znaleźć wśród nich enuncjacje, których kierunek wytyczył już w kwietniu 1946 r. jeden z publicystów komunistycznego *Głosu Ludu*; pisząc o demonstracji zwolenników Mikołajczyka w Szczecinie, podsumował swe wrażenia w następujących słowach: *Stoisz na przystanku. Przeciąga właśnie grupa chwalców PSL-owego wodza. Wydaje się, że jeszcze moment, a ręce podniosą się w górę i oczy nasze ujrzą znany nam obrazek z okresu okupacji podczas defilad SS i Hitlerjugend /.../. Wizja sojuszu PSL z niemiecką propagandą czy pogromcami III Rzeszy, określana przy pomocy topornych aluzji do wartości nabywczej dolara, stanowiła od wiosny 1946 r. jeden z ulubionych motywów propagandy komunistycznej.*

Oskarżenie PSL o ciągły fałszytowski czy wręcz okupacyjny kolaborację były oczywiście wyszane z palca. Najbardziej nawet zagorzali krytycy Stronnictwa nie starali się po 1936 r. o ich uodwodnienie. W oficjalnej historiografii krajowej pokutuje natomiast do dziś - przyjęty z propagandy lat 1945-1947 - zarzut, stawiający Mikołajczyka w roli jeśli nie zdradcy, to przynajmniej defraudanta interesów narodowych: zarzut o "obiektywne" współdziałanie z niemieckim rewidjonizmem. Miało to wynikać ze współpracy PSL z reprezentantami mocarstw zachodnich w Warszawie, a w szczególności w interesach, zmierzających do destabilizacji jedynego systemu władzy, gwarantującego granicę na Odrze i Nysie. Drugi element tego rozumowania stanowiło posądzenie o antyradzieckość, najciężiej i najbardziej rzeczono ujęte jesienią 1946 r. przez Adama Rapackiego: /.../ nie jest ważne - pisał wówczas jeden z bardziej inteligentnych polityków socjalistycznych - czy wasi /tj. PSL/ przywdoby chęć szczerze współpracy ze Związkiem Radzieckim. Ważne jest, że nie potrafili skupić wokół siebie masowej siły politycznej, dążącej do szerszej współpracy. Ten właśnie fakt - argumentowali socjaliści w poufnych rozmowach z asambadorami zachodnimi i z samymi Mikołajczykiem - powoduje, że Stalin nie chce nawet słyszeć o uznaniu Mikołajczyka jako esencjonalnego premiera, co z kolei przesądza o wyniku wyborów, skazana na ZSRR Polska nie może sobie pozwolić na większość PSL w przyszłym Sejmie. Wyczuwając wybory w ten czy inny sposób, komunistki działają w szerszym, narodowym interesie.

Zarzut antyradzieckości, sformułowany przez Rapackiego w formie umożliwiającej dykusję, wydaje się godny zastanowienia. Ze słów ośrołowego działacza PPS wynika, że nie tworzył on fikcji faktograficznych i nie oskarżał przywódcę PSL o głoszenie poglądów antyradzieckich: chodziło mu o nie dość skuteczne przeciwdziałanie takim poglądom lub ich tolerowanie.

Nie ulęga wątpliwości, że negatywne atomiki do ZSRR doinował w społeczeństwie polskim połowy lat

Był to jeden z pierwszych obrazków, który zapamiętałem z dzieciństwa. Okrążyła kaplica pod szczytem wzgórza, niżej katakumby, dalej kolumnada na rozkozystym stoku, a po obu jej stronach setki żołnierskich mogiłek. Okalały je drzewa pobliskiego Cmentarza Łyczakowskiego i lasy Pohulanki. Widziałem mogiły zazwyczaj z przeciwnego zbocza, z przedmiejskiej Filipówki i Cernerówki, ilekroć odwiedzałem mieszakających tam krewnych. Cmentarz Obrońców Lwowa - miejsce jedyne, dokąd wciągnę się w wyłach powraca. Rankiem i listopada 1944 roku, w trzy miesiące po wyparciu Niemców z miasta przez Armię Czerwoną, zatykano na mogiłach tysiące biało-czerwonych chorągiewek. Obserwowali tę czynność oficerowie radzieccy zebrani koło kaplicy. W kilka godzin później rozpoczęła się obława na uczestników tej manifestacji. NKWD uwięziło wiele osób za tak karygodne naruszenie porządku publicznego.

Wiosną 1946 roku, gdy zbliżał się już termin naszego przyjazdowego wyjazdu, ozerpaliliśmy ziomie z Cmentarza Łyczakowskiego i Obrońców, z kwatery powstańców 1863 roku i z grobów naszych rodzin. Zabraliśmy ją za sobą do powojennego państwa polskiego, gdzie zarówno w języku urzędowym, jak i w potocznym nazywano nas repatriantami. Szczęsne to było określenie, sprzeczne z zasadami logicznego wykładu. Repatriant to człowiek powracający z uchodźstwa do własnej ojczyzny, a my przecież utraciliśmy miejsce, które były naszym światem. Żadna z nowych siedzib w Polsce współczesnej, ani tym bardziej na Zachodzie, nie mogła ich nigdy zastąpić.

Po wielu latach ponownie ujrzałem te strony. Był sierpień 1971 roku. Wraz z kilkoma osobami z orbisowskiej wyściezki znów podchodziłem zboczem w kierunku kaplicy na wzgórze. Zągłada cmentarza była już widoczna. Z żołnierskich mogiłek wyrzano prawie wszystkie krzyże. Wznosiła się jeszcze kolumnada i kaplica, pozostały katakumby. Ich ślady pokrywały różnorodnie napisy w obcych językach, o treści bezwzględnie lub wulgarniej. Przed katakumbami stały skrynie, do których wleżono kawałki cenniajszych materiałów porożbijanych nagrobków. W kilka tygodni później

cd. na s. 20

cd. na s. 20

O. St. CZARNIK Lwowski Listopad

wjechały tam ciężkie pojazdy i zniwelowały teren. Strzaskano kolumnę i inne budowle. Z cementarza pozostała tylko ziemia, w którą wdeptano żołnierskie nogi. Kilka jej garści, zabranych jeszcze przed naszym wyjazdem, sypałem na trumny moich Bliskich, zmarłych w ciągu ostatnich dziesięcioleci.

Siedemdziesiąta rocznica Lwowskiego Listopada skłania natomiast do kilku refleksji, jakie budzi przebieg ówczesnych wydarzeń.

Zastanawia zatem okoliczność, że właśnie wtedy, u schyłku monarchii austro-węgierskiej, społeczność ukraińska w Galicji wschodniej przygotowała się lepiej do przejścia władzy, niż uczynili to miejscowi Polacy. Już w połowie października 1918 r. powstała Ukraińska Rada Narodowa, która rozpoczęła pertraktacje z władzami austriackimi w sprawie powołania niezależnego państwa między Sanem a Zbruczem. Dzięki podjętym staraniom osiągnęła do Galicji wschodniej ta pałki rozpadającej się armii austriackiej, w których większość stanowili Ukraińcy. Historycy polscy wielokrotnie podkreślali powyższą okoliczność. Dowództwo austriackie w Galicji wschodniej przekazało powstającą oddziałom ukraińskim (m.in. Doborową formację, tzw. strzelców wiozowych) znaczną ilość broni i sprzętu, łącznie z artylerią, a także kontrolę nad wieloma węzłami komunikacyjnymi i punktami strategicznymi. Nie czyniło zresztą tego bezinteresownie. W wieśniackich kręgach rządowych zdawano sobie sprawę, iż niektóre prowincje są już bezopornie stracone i wejść w skład nowych, niepodległych państw. Ostatnim ratunkiem w przekonaniu pewnych polityków było powołanie federacji, złożonej z ukraińskiej Austrii, Węgier oraz Ukrainy wschodniej. Nowy twór utrzymałby przyjaźnią część terytoriów, należących niegdyś do cesarstwa Habsburgów.

Wszystkie te przesłanki nie powinny zniekształcać oceny przygotowań ukraińskich. Przebiegały one sprawnie. W krótkim czasie powołano pierwsze formacje zbrojne i utworzono rządy własnej administracji. Przygotowywano się do akcji dyktando. Dzięki temu w nocy z 31 I na 1 XI 1918 r. oddziały ukraińskie opanowały prawie wszystkie ośrodki we wschodniej części dawnego zaboru austriackiego i dotknęły ogół tylko w Boryławiu. Przemogły one i tu.

Stolica Galicji była ogłuszona z formacji wojennych o polskiej sile. Przebływały one jeszcze daleko od siebie, wracały z odległych frontów. Politycy polscy w większości nie brali pod uwagę groźby zniszczenia stanu. Oczekiwano, iż w najbliższym czasie przybędzie z Krakowa do Lwowa tzw. Polska Komisja Likwidacyjna, by przejąć władzę nad całym dawnym zaborze austriackim. Społeczność polska pozostawała w znacznym stopniu bierna, a mieszkańcy byli prawdziwie zaskoczeni, gdy rankiem 1 listopada ujrzeli na głównych ulicach i placach miasta rozstawione regularnie karabiny maszynowe oraz

czterdziestych; była to wielce żywotna zbitka dawnej antyrosyjskości i względnie świeżego antykomunizmu, rozkwitająca na glebie wydarzeń z lata wojny; pobyt wojak radzieckich po jej zakończeniu na pewno nie łagodził emocji. Pewną rolę odgrywali także przesiedleńcy z byłych ziem wschodnich RP, stanowiący w 1946 r. około 10% ludności. W tej grupie - a była ona oczywiście obecna także w PSL, choć nie uzyskała tu żadnej formy reprezentacji partykularnej - stosunkowo często pojawiały się żądania rewindykacji ziem rodzinnych, skądinąd zrozumiałe jako społeczna reakcja na fakty trudne do zrozumienia, niedawne i bolesne. Czy była więc PSL ośrodkiem potencjalnego rewizjonizmu polskiego? Niezmiernie łatwo było Janowi Borkowskiemu o twierdzącą odpowiedź na to pytanie, sformułowaną na podstawie sprawozdań z zebrań terenowych organizacji PSL; także i on nie znalazł jednak dowodów, by żądania rewindykacyjne odegrały rolę w działalności codziennej czy programowej Stronnictwa. Warto przy tym przypomnieć, że tam, gdzie przesiedleńcy stanowili największą procentową grupę ludności - na ziemiach zachodnich i północnych - PSL było najsłabsze. I również łatwo byłoby w tym miejscu zacytować liczne wypowiedzi ludowych posłów do KRN, w których problem ten poruszano, za każdym razem podnosząc, że monopolizowanie przyjaźni polsko-radzieckiej przez jedną partię - PPR - oddaje przyjaźni tej niedźwiedzim przyszłość. Problem ten czeka na źródłowe badania.

Przedstawianie PSL jako legalnego eksponenta antyradzieckich, ergo reakcyjnych postaw i fobii społeczeństwa miało swoje źródła przede wszystkim wewnątrz krajowej funkcji takiego obrazu. Trudno wyobrazić sobie propagandę PPR bez tego motywu; skoro ludowcy przeciwstawiali się nowemu porządkowi społeczno-politycznemu, musieli oni być "antyradzieccy", a ich wielokrotne zapewnienia o dążeniu do zmiany społecznych nastrojów wobec wschodniego sąsiada musiały być ingorowane. Z podobną pasją jak proradzieckie enuncjacje opozycji zwalczała komunistki inny element, często występujący w wypowiedziach działaczy PSL, jakim była teza o decydującym wkładzie Mikołajczyka w wytyczenie granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie, także i ten fakt po prostu nie mógł mieć miejsca.

Okoliczność, że propaganda PPR nie przejmowała się szczególnie faktami i oskarżała opozycję o grzechy niepopelnione, nie oznacza, że PSL nie różniło się w swym stosunku do świata zewnętrznego od PPR czy PPS, choć - podobnie jak w wypadku partii robotniczych - sprawy zagraniczne stanowiły marginalną część wykładni programowej. Na Kongresie Stronnictwa /19-21 I 1946/ odpowiednia podkomisja opracowała rezolucję, w której domagała się ukarania i kontrolowania Niemiec, umiędzynarodowienia sprawy Łużyc i przesunięcia zachodniej granicy Niemiec na Ren, współpracy ze wszystkimi państwami demokratycznymi i pracy nad sojuszem polsko-radzieckim, zwiększenia międzynarodowej współpracy ekonomicznej, jawności zewnętrznych działań TRJW i przyjmowania członków PSL do MSZ. W oficjalnym programie, przyjętym przez Kongres, mowa była

o przyjaźni z ZSRR, określonej jako jedno z najważniejszych osiągnięć rządów odrodzonej Polski, o tym, że trwałość przyjaźni /.../ zależy będzie od uczciwego zlikwidowania sporów przeszłości, deklarowano też wolę kontynuowania sojuszu z Wielką Brytanią, Francją i Stanami Zjednoczonymi. Kongres wypowiedział się oczywiście za granicą na Odrze i Nysie oraz za wyłączeniem Niemców z ziem zachodnich.

Różnice między PSL a PPR i PPS stają się bardziej czytelne przy lekturze prasy. Nie dotyczyły one stosunku do Niemiec: Gazeta Ludowa należała do najbardziej zdecydowanych orędowników surowego traktowania pokonanego wroga; trudno byłoby także znaleźć artykuły, w których Gazeta otwarcie krytykowałaby ZSRR czy politykę zagraniczną TRJW. Naczelny organ PSL często traktował natomiast doniesienia zagraniczne jako okazję do przemycenia aluzji na temat sytuacji krajowej. W 1946 r. znajdujemy wiele tego typu tytułów, jak np.: *Wycofanie wojsk obcych z Persji /2 III/*, *Dajmy żyć Europie. Minister Bevin za opuszczeniem cudzych krajów przez wojska przyjaźnione /13 VI/*, *India chce być wolna /4 III/*, *Nojaka radziecka opuszczają różne ziemie w Europie i Azji /21 III/*, *Pogodne wybory w Grecji /1 IV/*, *Wszędzie wybory /16 X/ itd.*, wszystkie wybite na pierwszej stronie i nawiązujące, w sposób oczywisty dla czytelnika, do kluczowych kwestii Polski roku 1946. Wydaje się, że tytuły te oddają w równym stopniu poglądy Stronnictwa na poruszane zagadnienia, jak i kalkulację jego kierownictwa na przemycanie w ten sposób istotnych haseł walki wewnętrzno-politycznej. Dla naszych potrzeb istotne będzie stwierdzenie, że Gazeta Ludowa - w formie, w jakiej współkształtowała ją ingerencje cenzury - politykę zagraniczną komentowała rzadko i oszczędnie, na ogół nie wysuwając oryginalnych koncepcji.

Jak wyglądały możliwości wpływu przez Mikołajczyka na politykę zagraniczną Warszawy? Jesienią 1945 r. kierownictwo PSL żywiło nadzieję, że zgodnie z ustaleniami moskiewskimi otrzyma z klucza stanowisko podsekretarza stanu w MSZ. Do objęcia tej funkcji typowano współpracowników Mikołajczyka z emigracji, byłego posła RP w Bernie gen. Aleksandra Ładosia lub sekretarza premiera, Witolda Kurelskiego - postacie o tyle wyjątkowe w środowisku ludowców, że posiadające pewne doświadczenie w polityce zagranicznej. Nadzieja okazała się płonna, od początku Stronnictwo odsunięte zostało od polityki kadrowej w MSZ, a liczba dyplomatów-sympatyków czy członków PSL była znikoma. Już w 1946 r. miało zresztą miejsce uświadomienie z MSZ tych niewielkich zwolenników Mikołajczyka, których - jak np. w Londynie - przyjęto do pracy latem 1945 r. Sam wicepremier także izolowany był od procesu decyzyjnego: w kwestiach personalnych był przegłosowany przez większość gabinetu, nie uczestniczył - mimo złożonej chęci - w żadnej delegacji do Moskwy, nie brał też udziału w rozmowach z Jugosławią, Czechosłowacją, Francją czy Wielką Brytanią; o niektórych decyzjach rządu dowiadywał się z gazet.

Prezesa PŚL miał jednakże po swej stronie atuty, które w pewnej przynajmniej mierze równoważyły jego mało korzystną pozycję wobec opinii publicznej przez komunistów MSZ: doświadczenie, osobiste znajomości w elitach anglosaskich, wreszcie - rachuby, jakie z nim w tych elitach wzięto. Okoliczności te dały o sobie znać już w Poczdamie: jeżeli Amerykanie i Brytyjczycy nie mieli żadnej ochoty na wznowienie polityki Bieruta, to nie mogli ignorować tych samych faktów, jeżeli wysuwał je jedyny wpływowy sojusznik w Polsce. Z faktu tego zdawali sobie sprawę także komuniści: jesienią 1945 r. właśnie Nikołajczyk wysłany został do Waszyngtonu dla nawiązania rozmów o politycznych amerykańskich i właśnie on potrafił przekonać brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, że Rzeczypospolitej należy się pewien kredyt czystości. Później, w miarę zaostrzenia się stosunków wewnętrznych, nie odnajdujemy podobnych konstelacji - ani PŚL nie było zainteresowane w braniu na siebie ciężaru negocjacji finansowych, ani PPR w ewentualnym ich sukcesie, ewentualnym przez przywódco opozycji.

Jedną z kilku prób wzięcia niędzy komunistami a PŚL podjął w 1946 r. komunistyczny ambasador Włoch w Polsce, Eugenio Roale. Roale początkowo optymistycznie oceniał szanse takiego kopromisu; w grudniu 1945 r. należał do osób, przekonujących Nikołajczyka, że Moskwa nie zamierza bezpośrednio ingerować w sprawy polskie i zaakceptuje w razie zwycięstwa wyborczego prezesa PŚL jako premiera. W późniejszych rozmowach nie był już tak optymistyczny; podczas spotkania w maju przyznawał, że obawia się, iż komuniści nie oddadzą wady nawet w razie porażki wyborczej; wszystko zależy od Rosji, która skądinąd nie ma powodów, by wypytuiwać w szeregach intensywnie Nikołajczyka. Podczas pożegnalnej wizyty pół roku później optymizm rozwinął się zupełnie; ambasador powtarzał, że kluczem do Rosji, ale Rosja jest dla informowana, i - choć powinna być zainteresowana w posiadaniu w Polsce mocnego, stabilnego sojusznika - może postawić definitywnie na zwycięstwo wyborcze komunistów.

Oni nie ustąpią - podsumował w dniu referendy sytuację w Polsce Czechów Wyczech - Rosja za nimi, Anglosas daleko i ten swoisty wykład polskiej geopolityki znajdował w 1946 r. coraz więcej zwolenników w kierownictwie PŚL. Tendencja ta była wynikiem wzrastającego rozczarowania nieskutecznością cudownej recepty, przywiezionej rzekomo przez Nikołajczyka z Londynu. Przywódca opozycji także zdawał sobie sprawę, że bez pozyskania choćby neutralności Moskwy nie wygra; we własnym przekonaniu miał na to - przynajmniej jesienią 1945 r. - wszelkie możliwości, znajdował też wiele dowodów na racjonalność swej kalkulacji. Nie spał - tłumaczył swą rachubę na neutralność ZSRR Nikołajczyk - by Rosja uchylała bezpośrednio ingerować w nasze sprawy. Nie żądał się, że Rosja wolałaby widzieć rząd komunistyczny u nas niż inny. Ale Rosjanie są realistami, wiedzą dobrze, że prowadziłibyśmy przyjaźną politykę, a na pewno nie chciałibyśmy doprowadzić do spięd. Nam wrażenie, które może być wy-

no, że Rosja poza obecnością wojsk i pewną pomocą w bezpieczeństwie pozostałi naszych komunistów własnym losowi /.../ Moje przekonania są nie tylko podyktowane względami politycznymi, ale i gospodarczymi. Musimy mieć jak najszersze stosunki z Rosją.

Nikolajczyk starał się bardzo, by zapewnienia składane ambasadorowi Włoch czy kolegom z PŚL trafiły do właściwego adresata. Droga najprostsza - przez ambasadora radzieckiego - okazała się zamknięta: kiedy w styczniu 1946 r. przywódca opozycji podjął próbę nawiązania kontaktu z Wiktorem Lebediewem, ten zbyt go stwierdził, że jest attache przy rządzie, a nie przy partiiach. Wysiłki ludowców - członków RZJW o uczestnictwo w jednej z licznych delegacji do Moskwy skończyły się takim samym niepowodzeniem jak starania o zaproszenie grupy polityków PŚL do ZSRR. W lutym Nikolajczyk zobowiązał redakcję *Gazety Ludowej* do zmiany polityki tytułów: przed nazwiskiem Stalina zaczął odtąd pojawiać się regularnie tytuł generalissimusa; wysłana w tym samym czasie depesza gratulacyjna prezesa PŚL do generalissimusa spotkała się jednak z bardzo lakoniczną odpowiedzią Stalina.

W marcu, w pierwszym numerze reaktywowanego *Chłopskiego Świata* znalazł się programowy artykuł Nikolajczyka *Polaka a Rosja Sowiecka*. Zebrane zostały w nim wszelkie dotychczasowe wywody przywódcy PŚL na temat stosunku do ZSRR: oferta równorzędnego sojuszu, przyznanie jego znaczenia dla Polski /Jako Polacy na pierwszym planie stawiamy interes Polski i jej obywateli. Drugim z rzędu jest wspólny interes narodów polskiego i Związku Radzieckiego/ i dla ZSRR /Polaka stanowięca podwójną wartość dla swego wschodniego sąsiada - jako kontrahent we wzajemnej wymianie towarów i dóbr kulturalnych, ale równocześnie silną ochronę od wiecznej agresji imperializmu niemieckiego na wschód/. Nie zabrakło w artykule ani krytyki pod adresem Churchilla, ani pochwały radzieckiej pomocy zbożowej i polsko-radzieckiej umowy węglowej /otwierającej na przyszłość ważny rynek zbytu/, ale nie zabrakło też wyraźnego ostrzeżenia, że zasady wzajemnego pozostawiania swej niezależności i suwerenności, jak również nieingerowania w sprawy wewnętrzne drugiego państwa, wyrażone w układzie polsko-radzieckim - przynajmniej otworze - są nam specjalnie drogie. Całość wieńczyło hasło: Silna-wolna-suwerenna Polska demokratyczna - w sojuszu i współpracy ze Związkiem Radzieckim - w sojuszu ochronnym przeciw wazelkiemu imperializmowi niemieckiemu /.../ oto ideały, które nam, chłopom PŚL są drogim i świętem i dla których żyć i pracować pragniemy i będziemy.

Nie wiemy, jak przyjęto w Moskwie deklarację przywódcy opozycji. Kiedy w maju ambasador radziecki zgodził się wreszcie odbyć spotkanie z Nikolajczykiem, przybrało ono jednak formę monologu prezesa, przerywanego rzadkimi pytaniami Lebediewa. Nikolajczyk usilnie starał się przekonać ambasadora ZSRR, że istnienie PŚL gwarantuje stabilność Polski i tym samym służy radzieckim interesom.

O. St. CZARNIK Lwowski Listopad

28to-niebieskie chorągwie na Ratużu i budynkach ważniejszych urzędów.

Czułość wykazały natomiast organizacje niepodległościowe, a więc pilsudczykowska POW, zrzeszenie Wolność /skupiające oficerów polskich z armii austriackiej/ oraz związane z prawicą Polskie Kadry Wojskowe. Uczestniczyły w ich przygotowaniach liczne grupy przebywających w mieście legionistów. Trwało pogotowie zbrojne polskiej młodzieży - studentów, harcerzy, licealistów. Dzięki temu w dniu Wszystkich Świętych, gdy Ukraińcy zawładnęli prawie całym miastem, zostały się niektóre polskie rezerwy, jak Szkoła Sienkiewicza i Dom Techników. Strzegło ich nad ranem 64 uzbrojonych ludzi, następnego dnia o świcie walczyło ich 176, a wieczorem 600. W dniach następnych liczba polskich obrońców wyniosła - mimo ustawicznych strat - nieco ponad 1000 ludzi, a po przybyciu pierwszej odnieszki 20 XI 1918 r. siły te skupiały w mieście powyżej 3 tysięcy żołnierzy i oficerów. Również dopiero w toku kolejnych starć tworzono jednolity system dowodzenia i łączności, organizowano służbę medyczną i kwatery strażackie, a przede wszystkim podjęto dalsze wysiłki w celu zdobycia większej ilości broni, łożyska i artylerii.

Po stronie ukraińskiej walczyło początkowo we Lwowie od 10 000 do 15 000 żołnierzy. Były to jednak również liczby wyjściowe. Siły obu stron wzrastały stopniowo już po zakończeniu walk listopadowych we Lwowie. W ciągu następnych miesięcy społeczność ukraińska w dawnej Galicji wschodniej wystawiła prawie skutystyczną armię. Siły polskie były przez pewien czas słabsze liczebnie. Wiosną 1919 roku zaczęły się już przecieć starcia polsko-radzieckie, trwało powstanie wielkopolskie przeciw Niemcom, a na początku roku odpięrano też ataki Czechów, dążących do zawładnięcia całą Śląskiem cieszynskim. Dopiero po przybyciu na front galicyjskiej armii gen. Hallera strona polska rozpoczęła działania ofensywne na większą skalę. Tak więc boje lwowskie, po pierwszych starciach stosunkowo nielicznych grup, przerodziły się w regularną, długotrwałą wojnę, w której uczestniczyły dziesiątki tysięcy ludzi, łącznis z artylerią, pociegi pancerne i lotnictwem, z całym nowoczesnym jak na owe czasy wyposażeniem, z rozwiniętą służbą tyłów.

Wtedy jednak, w pierwszych dniach listopada, bronili polskich rezerw /jak Szkoła Sienkiewicza, Dom Technika, Szkoła Kadetów, Góra Straconia i Dworzec Główny/ odziały liczące po kilkudziesięciu, a w każdym razie niewiele ponad stu żołnierzy. Czemu należało zaudzioczyć, że tak szczerpe siły nie zostały od razu zniszczone w pierwszych dniach walki, gdy nie można było liczyć na szybką pomoc z zewnątrz?

Decydująca czynnikami były pewne szczególne cechy tego ochotniczego rucingu. Żołnierze do 19 roku życia stanowili około 65%

ogółu, a byli wśród nich również chłopcy trzynasto- i czternastoletni. Dalsze 40% przypadało na żołnierzy w wieku od 20 do 29 lat, reszta na roczniki starsze, przy czym nie zabrakło również ochotników powyżej pięćdziesiątego, a nawet sześćdziesiątego roku życia. Jednoczyła tych ludzi świadomość, że są prawdziwym, regularnym Wojskiem Polskim, jak niedawno I i II Brygada Legionów, że bronią własnego miasta, tej najbliższej ojczyzny. Historia Lwowskiego Listopada zawiera wiele przykładów autentycznego heroizmu. Poszczególne oddziały trwały niskiedy po 30 godzin na pierwszej linii, odpierając ataki wielokrotnie liczniejszego przeciwnika. Wągał się być ucieleśnieniem ze szpitali na front, pozostawanie na posterunku mimo odniesionych cięższych obrażeń. Na pierwszej linii walczyło też po czątkowo 28 kobiet. Później, w toku długotrwałego oblężenia miasta, dalsze grupy legii kobiecej /zwłaszcza harcerki/ uczestniczyły z karabinem w ręku w ciężkich walkach. Wiele innych podejmowało misję łączniczek, które przemieszczały się również przez linię frontu, utrzymując kontakt z dzielnicami miasta we władaniu nieprzyjaciela. Wykorzystywano też w tych listopadowych bojach przebiegłe podziemne kanały miejskie lub otworami wybijającymi do piwnic sąsiednich domów, choć powyższe przedsięwzięcia nie były jeszcze tak częste, jak 26 lat później w powstaniu warszawskim.

Bohaterstwem ochotników towarzyszył czynnik drugi - ofensywność polskiej obrony. Sprawnie przetrzymano żołnierzy na najbardziej zagrożonych odcinkach frontu, o czym świadczy m.in. dzieje grupy operacyjnej kapitana Boruty-Spiechowicza i porucznika Abrahama. Wypadki w okolicy miasta pozwalały zawiązać austriackim magazynom wojakowski, stanowiącym główne źródło zaopatrzenia w broń lekką, karabiny maszynowe, działa, amunicję. Otwierały też drogę do niektórych polskich wiosek. Nieprawdą jest twierdzenie, powtarzane przez niektórych naukowców i publicystów, że Lwów był polską wyspą w ukraińskim morzu. Obok wiosek ukraińskich były tu również i polskie, charakterystyczne się w tym stopniem świadomością narodo-wego ich mieszkańców. Niektórzy z nich wzmocnili później załogę miasta.

W ciągu całej kampanii listopadowej wzrastał systematycznie polski stopień posiadania. Dnia 2 listopada objął on ledwie kilka prowizorycznie umocnionych budynków i kilkadziesiąt ulic w południowo-zachodniej części miasta. W dniach późniejszych oddziały polskie wyprzedzały rozległy już obszar od Rzeczy Polskiej do Kulparkowa, a wśród zdobytych w tym czasie obiektów znalazł się m.in. Dworzec Główny i Czerniowski, Kłeparnia, południowa część Zamarstynowa. Front przesuwał się coraz bardziej w kierunku Śródmieścia, a zażarte walki pozycyjne toczyły się m.in. w gmachach Poczty Główniej, Sejmu Galicyjskiego i o sąsiadujący z nim Ogród Jezuicki. Ofensywność polskiej obrony wzmacniały własne przedsięwzięcia techniczne. Ukończono budowę pociągu pancernego. Werszaty lotnicze na Parsenkówce podjęły naprawę kilkunastu uszkodzonych samolotów wojskowych typu

My dziś kontrolujemy większą część społeczeństwa, gdy odbierze się nam tę możliwość, w pełni się tych ludzi pod kontrolę czynników ekstremistycznych, nieodpowiedzialnych. Będzie anarchia i wielki rozlew krwi /.../ Czuję się w obowiązku to powiedzieć, bo za to, co się w Polsce dzieje i będzie działo, opinia światowa obciąża nie tylko wykonawców, lecz i Związek Sowiński - ostrzegając przede wszystkim miejsca poświęcając represjom zacierającym do likwidacji legalnej opozycji. PPR oskarżyła także o niweczenie rezultatów pracy wychowawczej na polu stosunków polsko-radzieckich. Mamy niezachwianą linią polityczną współpracy ze Związkiem Radzieckim. Szczerze pracujemy w tym kierunku, my rozumimy, że to jest konieczne w imię interesów i egzystencji narodu. To, co mówimy i piszemy, bierze się z frazes - starał się Niukolajczyk zachęcić Lebidiewa zapewniając, że PSLowska większość w Sejmie z góry zrzecze się z praw większości, uzgadniając obsadę najwyższych stanowisk w państwie z innymi partiami. Jednakże nawet w optymistycznej relacji prezesa PSL brakuje wskazówek, by ambasador podjął sugestie rozmówcy. Związkowi Radzieckiemu - wyjaśniał Lebidiew - nie zależy na skazaniu Polaki ani na anarchizowaniu. Tu p. Gomułka spieszę się doznać na swoją osobistą odpowiedzialność, ale czy nie jest tak, że i Pan się spieszy - dystansował się Kozłowski od aktualnych wydarzeń w Polsce. Niukolajczyk wciąż jeszcze sądził bezpodstawnie, że klanka

nie zapadła. Ze było inaczej - o tym prezes PSL miał się przekonać w ciągu najbliższych miesięcy. Krótki przegląd zewnętrznych uwarunkowań egzystencji PSL i prób wpływów na nie przez Niukolajczyka prowadzi do wniosku, że Stronnictwo odegrało rolę paradoksalną: pozabawione na polu polityki zagranicznej tradycji, konsekwentnie odsuwane przez komunistów od mechanizmów decyzyjnych PSL, nie liczyło się w grze dyplomatycznej jako podmiot, było natomiast podstawowym przedmiotem kontrowersji między ugrupowaniami. Jednocześnie jednak - dzięki czynnikom sprzecznym z własnymi intencjami - wniosło PSL do polskiej wyśli politycznej motyw sukcesu nowy: jako pierwsza formacja opozycji antykomunistycznej było jedynym nie pierzonym ugrupowaniem, któremu przypisano antyradzieckość jako fundamentalną cechę programową, niezależną od wszelkich zapewnień i deklaracji, cechą nierozdzielnie związaną odtań z wszelkimi ruchami kwestionującymi komunistyczny monopol władzy.

Ten niechciany wkład w historię najnowszej Polski wyrażony jest w dużym stopniu w fiasku "osobistej dyplomacji" Niukolajczyka. Nie wiemy, dlaczego Moskwa wykazała tak zupełny brak zainteresowania alternatywą, wiesz natomiast, że zasadniczy błąd w kalkulacji - stawka na fińskizację Polaki - pogrzebał w gruncie rzeczy całokształt wysiłków prezesa; pomoc Zachodu okazała się nieistotna.

Włodzisław Borodziej

Brandenburg, odebranych Austriakom. Już 5 listopada wystartowały trzy pierwsze polskie maszyny. Dzięki temu nawiązano bezpośrednią łączność z Krakowem i Warszawą, podjęto loty wiadomościowe i bombardowanie pozycji nieprzyjacielskich. Trudno je porównywać z działaniami lotnictwa w II wojnie światowej, niemniej jednak widok własnych maszyn w powietrzu wzmacniał pewnością obrońców i nastroje ludności cywilnej we wszystkich dzielnicach.

Kolejnym wreszcie istotnym czynnikiem było swoje położenie Lwowa, miasta siedmiu wzgórz, gdzie wzniesienia Roztocza łączą się z północną, stroną krawędzią Wyżyny Podolskiej. Ułatwiało to niejednokrotnie walkę obroncom, dobrze znającym teatery lasy, wzgórz i wąwozy. Nawet niewielka grupa, po opanowaniu dogodnego punktu, mogła długo opierać się przeważającym siłom. Rzeźbę terenu wykorzystano umiejętnie w czasie pierwszej odsieczy, 21 i 22 listopada. Oddziały polskie obszły od północy i południa pozycje ukraińskie i po krótkich, choć zażartych walkach, m.in. o Górę Jacka i Cementarz Łyczakowski, zagroziły kilkakrotnie silniejszemu przeciwnikowi całkowitą otoczeniem. W tej sytuacji oddał on już bez walki Śródmieście i jedyną drogą, jaką mu jeszcze pozostała, wycofał się w dalsze okolice.

A zaczęło się to wszystko w dniu Wszystkich Świętych, kiedy w Warszawie rzadził jeszcze Biemcy, w Lublinie Austriacy, a Wielkopolska i Pomorze pozostawały nadal oficjalnie pod pruskią zabarwą. Nie było jeszcze niepodległego państwa, gdy obrońcy, Lwowa, od

pierwszej suwej akcji, wystąpili jako Wojsko Polskie, regularna formacja przyszłej armii, zrodziła te poczynania silna wiara, iż odrodzenie Polaki jest już sprawą najbliższej przyszłości i że tu, we Lwowie, potrzebny jest plebiscyt na rzecz przyszłego państwa, oparty na własnej krwi. Ta wiara pozwoliła przetrwać późniejsza przeszłość sześciomiesięczne oblężenie, od końca listopada do połowy maja 1919 roku. Miasto znajdowało się pod stałym ostrzałem artylerii, odpierało kolejne szturm. Zarazem tylko nocą docierały tu porcje z Przemysła, wiozące amunicję i żywność. W marcu 1919 roku oddziały ukraińskie przecięły tę jedyną drogę zaopatrzenia. Coraz bardziej brakowało w mieście opału i chleba. Mięso przydzielano tylko Niemowlętom, które nie ukończyły pierwszego roku życia. Uszkodzone były wodociągi i inne urządzenia komunalne. Ginęli żołnierze na froncie i cywile oczekujący w kolejkach na żywność. E.T.

Dzisiaj, w 70 rocznicę tych wydarzeń, nie wystarczy już ich zwykłe przypomnienie. Trzeba mieć również odwagę, by spojrzeć na nie od strony ukraińskiej, z perspektywy naszych braci, którzy byli wówczas naszymi przeciwnikami. Nie da się zaprzeczyć, że stworzyli oni niepodległe państwo, Republikę Zachodnio-Ukraińską, funkcjonujące w ciągu 9 miesięcy. Jej armia okazała się walecznym przeciwnikiem wojsk polskich. Jeszcze w czerwcu 1919 roku, gdy Polacy uzyskali na froncie południowo-wschodnim wyraźną przewagę, oddziały ukraińskie przeszły niespodziewanie do trzytygodniowej ofensywy czortkowskiej i odzyskały znaczną część kraju. Dopiero w

ODNA 9. 25

J. ORŁOW

Śmierć Gorkiego

Na trzecim procesie moskiewskim Stalin udzielił pośrednio odpowiedzi tym, którzy krytykowali go za granicą i coraz natarczywiej zadawali wciąż jedno i to samo kłopotliwe pytanie: jak wytłumaczyć fakt, że dziesiątki doskonale zorganizowanych grup terrorystycznych, o których tyle mówiło się na obu poprzednich procesach, zorganizowały tylko jeden jedyny zamach - zabójstwo Kirowa.

Stalin rozumiał, że pytanie tego rodzaju trafia w sedno sprawy: w istocie jedynie jedno zabójstwo stanowiło słaby punkt całego obrzydliwego spektaklu sądowego. Zrobić unik w tej kwestii było niepodobieństwem. A więc Stalin przyjął to wyzwanie i wziął na siebie przygotowanie odpowiedzi. W jaki sposób? Znow przy pomocy legendy, którą włożył w usta podsądnych na trzecim procesie moskiewskim.

Żeby poważnie odpowiedzieć na pytanie, Stalin musiał wyliczyć po nazwisku tych działaczy partyjnych, którzy zginęli z ręki spiskowców. Ale skąd ich wziąć? W ciągu ostatnich dwudziestu lat społeczeństwu podano do wiadomości tylko jeden akt terrorystyczny - zabójstwo Kirowa. Dla osób, które chciałyby przesłedzić, jak działał umysł Stalina, trudno o lepszą okazję. Zobaczymy, jak rozstrzygnął on ten problem i w jakiej formie przedstawił sądowi.

Pomiędzy 1934 a 1936 rokiem w Związku Radzieckim całkiem naturalną śmiercią zmarło kilku wybitnych działaczy politycznych. Najbardziej znanymi spośród nich byli: członek Biura Politycznego Kujbyszew i przewodniczący OGPU Mienżyński. W tym czasie umarli też A. M. Gorki i jego syn Maksym Pieszkow. Stalin postanowił wykorzystać śmierć tych czterech osób. Chociaż Gorki nie był członkiem rządu i nie wchodził w skład Biura Politycznego, Stalin chciał również jego przedstawić jako ofiarę działalności spiskowców, mając nadzieję, że wywoła to oburzenie w społeczeństwie, skierowane przeciwko oskarżonym. /.../

Dla Stalina istotne było przedstawienie Gorkiego jako ofiary zabójców z trockistowsko-zinowjewowskiego ugrupowania nie tylko w tym celu, by wzbudzić powszechną nienawiść do tych ludzi, ale również dla wzmożenia własnego prestiżu: Gorki, "wielki humanista", w tej sytuacji okazywał się bliskim przyjacielem Stalina i już z tego tytułu - nieprzejednanym wrogiem tych wszystkich, którzy zginęli w wyniku procesów moskiewskich.

Ale to nie wszystko. Stalin usiłował przedstawić Gorkiego nie tylko jako swego bliskiego przyjaciela, ale namiętnego obrońcę stalinowskiej polityki. Motyw ten przewinął się w "zeczaniach" wszystkich oskarżonych na trzecim procesie moskiewskim.

Ich "bliska przyjaźń" nie bez przyczyny stała podkreślali na rozprawie i oskarżeni, i ich obrońcy, i prokurator. Stalinowi niezwykle potrzebne było stworzenie tego rodzaju wrażenia. Po dwóch latach terroru autorytet moralny Stalina - dotychczas również niezbyt wysoki - obniżył się całkowicie. W oczach własnego społeczeństwa Stalin był tym, kim był naprawdę - okrutnym zabójcą, splamionym krwią najlepszych obywateli kraju. Stalin wiedział o tym spieszył więc, by korzystać z ogromnego autorytetu Gorkiego, który rzekomo pozostawał z nim w przyjaźni i popierał gorąco jego politykę.

W Rosji przedrewolucyjnej Gorki cieszył się opinią obrońcy uciskanych i odważnego przeciwnika samodzierżawienia. Później, niezależnie od przyjaźni łączącej go z Leninem, w pierwszych latach rewolucji atakował go, krytykując w swojej gazecie "Nowa Przyjaźń" czerwony terror i biorąc w obronę prześladowanych ludzi.

Na długo przed śmiercią Gorkiego Stalin starał się go uczynić swoim stronnikiem politycznym. Ci, którzy wiedzieli, że Gorki był człowiekiem nieprzekupnym, mogli sobie wyobrazić, że było to przedsięwzięcie beznadziejne. Ale Stalin nigdy nie wierzzył w nieprzekupność ludzi. Przeciwnie, często pouczał pracowników NKWD, że w swojej działalności powinni wychodzić z założenia, że ludzie nieprzekupni nie istnieją. Po prostu każdy ma swoją cenę.

Kierując się taką filozofią, Stalin rozpoczął umizgi wobec Gorkiego.

W 1928 roku Komitet Centralny partii rozpoczął ogólnozwiązkową kampanię o powrót Gorkiego do kraju. Kampania została zorganizowana bardzo przemyślnie. Na początku stowarzyszenia pisarzy radzieckich, a później również inne organizacje zaczęły wysyłać listy do Gorkiego, przezywającego we Włoszech, z prośbą, by wrócił do ZSRR i pomógł podnieść poziom kultury wśród szerokiego mas społeczeństwa.

Pomiędzy tego rodzaju prośbami, którymi zasypano Gorkiego, były próby od pionierów i uczniów: dzieci zapytywały swego ulubionego pisarza, czemu to woli on mieszkać w faszystowskich Włoszech, a nie w Związku Radzieckim, wśród narodu rosyjskiego, który tak go kocha.

Poddając się żywiołowemu jak gdyby naporowi społeczeństwa, rząd radziecki skierował do Gorkiego utrzymane w ciepłym tonie zaproszenie do powrotu do kraju. Gorkiemu obiecywano, że jeśli będzie sobie tego życzył, będzie miał możność spędzania we Włoszech okresu zimy. Oczywiście rząd zobowiązywał się do zapewnienia Gorkiemu dostatku i pokrywania wszystkich jego wydatków.

Pod wpływem tych listów i zaproszeń Gorki wrócił do Moskwy. Od tej chwili zaczął funkcjonować program obłaskawiania go, utrzymany w stalinowskim stylu. Do jego dyspozycji oddano dom w Moskwie i dwie urzędzone wille - jedną pod Moskwą, drugą na Krymie. Zaopatrzenie pisarza i jego rodziny zlecono zostało temu samemu wydziałowi NKWD, który był odpowiedzialny za dostarczenie wszystkiego, co konieczne, samemu Stalinowi i członkom Biura Politycznego. Na wyjazdy na Krym i za granicę Gorki otrzymał specjalnie urządzone wagon kolejowy - salonkę. Na polecenie Stalina Jagoda starał się odgadywać najdrobniejsze życzenia Gorkiego i je spełniać. Wokół jego willi posiadano ulubione przez niego kwiaty, aprowadzone specjalnie z zagranicy. Pisarz palił papierosy, zamawiane dla niego w Egipcie. Gdy tylko zdążył wspomnieć, od razu dostarczano mu każdą książkę, gdziekolwiek byłaby wydana. Gorki, który z natury był człowiekiem skromnym i umiarkowanym, próbował protestować przeciwko temu rażącemu zbytkowi, którym go otaczano, ale powiedziano mu, że... istnieje tylko jeden Maksym Gorki.

Tak jak mu obiecano, miał możność wyjeżdżania do Włoch na jesień i zimą, i wyjeżdżał tam co roku /od 1929 do 1933/. Towarzyszyli mu dwaj lekarze radzieccy, którzy czuwali nad jego zdrowiem podczas tych wyjazdów.

Oprócz troski o dostatnie życie Gorkiego, Stalin polecił Jagodzie zajęcia się zmianą jego poglądów. Miałeło przekonać starego pisarza, że Stalin buduje prawdziwy socjalizm i robi wszystko, co w jego mocy, aby podnieść poziom życia mas pracujących.

Od pierwszych dni pobytu Gorkiego w Moskwie Jagoda pilnował, by nie mógł on bezpośrednio stykać się z ludnością. W zamian za to miał możność poznawania życia narodu na spotkaniach z robotnikami w różnych zakładach przemysłowych i pracownikami podmoskiewskich pokazowych souchozów. Spotkania te były organizowane przez NKWD. Gdy Gorki zjawiał się w fabryce, zebrani witali go z entuzjazmem. Specjalnie dobrani mówcy wygłaszali mowy o "szczęśliwym życiu robotników radzieckich" i o ogromnych osiągnięciach w dziedzinie oświaty i kultury wśród mas pracujących. Przewodniczący miejscowych komitetów partyjnych wnosili okrzyki: "Hurra na cześć najlepszych przyjaciół klasy robotniczej - Gorkiego i Stalina!".

Jagoda starał się tak wypełnić dni Gorkiemu, że ten nie miał czasu na samodzielne obserwacje i wnioski. Wożono go na te same imprezy, na jakie piloci "Inturist" zawozili turystów cudzoziemskich. Gorkiego zainteresowały szczególnie dwie kosmy byłych kryminałistów, zorganizowane pod Moskwą w Bolszawie i w Luberbach. Mieszkańcy kosmy nauczyli się spotykać Gorkiego gorącymi owacjami i podczas przygotowywania przedstawienia, w których wdzięczność za powrót do

uczciwego życia wyrażano dwóm osobom: Stalinowi i Gorkiemu. Dziesiątki byłych przestępców deklamowały fragmenty utworów Gorkiego. Pisarz był tak głęboko wzruszony, że nie potrafił powstrzymać łez. Dla towarzyszących mu enkawudystów była to oznaka, że dobrze spełniają wydane przez Jagodę polecenia.

Aby jeszcze bardziej obciążyc Gorkiego zajęciami, Jagoda włączył go do grupy pisarzy, których zadaniem było stworzenie historii zakładów przemyślowych w ZSRR i oddanie "patosu budownictwa socjalistycznego". Gorki podjął się również opieki nad różnymi inicjatywami w dziedzinie kultury, zorganizował czasopismo "Literaturnaja Uczoba", najpóźniej pomocą pisarzem-amatorem. Uczestniczył w pracach tak zwanego Stowarzyszenia Pisarzy Proletariackich, na czele którego stał Aworbach, żonaty z kuzynką Jagody. Po kilku miesiącach od powrotu do kraju Gorki był tak obciążony, że nie miał wolnej chwili. Całkowicie izolowany od narodu, poruszał się nieznośnym na taśmie transportera urządzone dla niego przez Jagodę, w stałym towarzystwie enkawudystów i kilku młodych pisarzy, współpracujących z NKWD. Wszystkim, którzy otaczali Gorkiego, nakazano opowiadać mu o cudach budownictwa socjalistycznego i wyrażać pochwały na cześć Stalina. Nawet ogrodnik i kucharz, przydzieleni pisarzowi, wiedzieli o tym, że od czasu do czasu mieli obowiązek opowiadać mu, że Święto otrzymali listy od krewnych ze wsi, w których podają oni, iż życie na wsi staje się coraz piękniejsza.

Sytuacja Gorkiego nie różniła się niczym od sytuacji cudzoziemskiego dyplomaty, z tym jednak zastrzeżeniem, że dyplomata regularnie otrzymywał ze źródeł poufnych informacje o prawdziwym biegu rzeczy w kraju jego przebywania. Gorki nie miał tego rodzaju źródeł, zadowalał się tym, co mu opowiadali ludzie, którymi obstawiał go NKWD.

Znając swojego rodzaju wrażliwość Gorkiego, Jagoda przygotował dla niego specyficzną rozrywkę. Raz do roku zabierał go ze sobą na inspekcję któregoś z więzień. Tam Gorki rozmawiał z uprzednio wybranymi więźniami, których zamierzano wcześniej zwolnić. Każdy z nich opowiadał Gorkiemu o dokonanych przez niego przestępstwach i składał obietnice, że po zwolnieniu zaczną prowadzić nowe, uczciwe życie. Towarzystwo Gorkiemu enkawudzista - zazwyczaj był to nie pozbaniony zdolności aktorach Siemion Firin - wysiadał ołówki i notes i, pytając spoglądał na Gorkiego. Jeżeli ten kiwał głową, Firin zapisywał nazwisko więźnia i polecał strażnikom, by go zwolnili. Niekiedy, gdy więzień był młody i wywierał szczególnie korzystne wrażenie, Gorki prosił, by zapewniono mu miejsce w jednej z wzorcowych komun dla byłych kryminalistów.

Często Gorki prosił zwalnianych więźniów, by pisali do niego i dawali znać, jak układa im się nowe życie. Pracownicy NKWD pilnowali tego, żeby do Gorkiego trafiały takie listy. W sumie więc życie przedstawiało się Gorkiemu jako nieprzerwana idylla i nawet Jagoda wraz ze swoimi pracownikami wydawał mu się dobrodusznym idealistą.

Gorki pozostawał w słodkiej niewiedzy do chwili, kiedy to stalinowska kolektywizacja doprowadziła do głodu i do strasznej tragedii osieroconych dzieci, które dziesiątkami tysięcy kierowały się ze wsi do miast w poszukiwaniu kawałka chleba. Chociaż otoczenie pisarza starało się wszelkimi sposobami pomniejszyć rozmiar nieszczęścia, Gorki przeraził się nie na żarty. Zaczął narzekać i w rozmowach z Jagodą otwarcie krytykował zjawiska, które spostrzegł w kraju, a o których milczał do tej pory.

W 1930 lub 1931 roku w prasie ukazał się komunikat o rozstrzelaniu czterdziestu osmiu ludzi, którzy rzekomo swoją działalnością spowodowali wybuch głodu. Komunikat ten uderzył Gorkiego we właściwość. W rozmowie z Jagodą obwiniał rząd o rozstrzelanie niewinnych ludzi i zamiar zważenia na nich odpowiedzialności za zaistniały głód. Ani Jagoda, ani jego pracownicy nie potrafili tym razem przekonać pisarza, że ludzie ci naprawdę byli winni.

Wkrótce Gorki otrzymał z zagranicy propozycję wstąpienia do Międzynarodowego Związku Pisarzy-Demokratów. Zgodnie z zaleceniem Stalina Jagoda poinformował go, że Biuro Polityczne jest temu przeciwnie, ponieważ niektórzy członkowie Związku podpisali list do Ligi Obrony Praw Człowieka, noszący charakter antyrządziecki, zawierający protest przeciwko niedawnym egzekucjom w ZSRR. Biuro Polityczne wyraziło nadzieję, że Gorki będzie bronił dobrego imienia swego kraju i odpowiednio potraktuje oazęczarców.

Gorki zawałał się. Rzeczywiście, w czasie "domowych" rozmów z Jagodą mógł złobić się i protestować przeciwko surowym krokom rządu, ale w tym przypadku chodziło o obronę ZSRR przed napadami ze strony światowej burżuazji. Odpowiedział Międzynarodowemu Związkowi Pisarzy-Demokratów, że odmawia wstąpienia do tego związku. Dodał też, że wina rozstrzelanych w ZSRR ludzi wydaje mu się niewątpliwą.

Tymczasem stalinowskie łaski sypały się na Gorkiego jak z rogu obfitości. Rada Komisarzy Ludowych w specjalnej uchwale podniosła jego wielkie zasługi wobec literatury rosyjskiej. Kilka zakładów pracy otrzymało jego imię. Rada Moskiewska postanowiła przemianować główną ulicę w mieście - Twerską - na ulicę Gorkiego.

W tym czasie Stalin nie starał się zbliżyć z Gorkim. Widział go raz czy dwa razy w roku z okazji świętowania rewolucji, pozostawiając Gorkiemu uczynienie pierwszego kroku. Znając Gorkiego, Stalin adawał wielkie zainteresowanie rozwojem rosyjskiej literatury i teatru i nawet zaproponował Gorkiemu objęcie stanowiska ludowego komisarza oświaty. Pisarz jednak odmówił, tłumacząc się brakiem zdolności do administracji.

Kiedy Jagoda i jego współpracownicy uznali, że Gorki już w pełni znajduje się pod ich wpływem, Stalin polecił Jagodzie, by przekonał starego pisarza, iż byłoby rzeczą nadzwyczaj pożądaną, by zasiadł do napisania o Leninie i Stalinie. Gorki znany był w kraju jako bliiski towarzysz Lenina, wiadomo o tym, że wiązała go z Leninem przyjaźń, Stalin pragnął więc, by Gorki swoją piórem przedstawił go jako godnego następcę Lenina.

Stalinowi niezmiernie było śpieszno do tego, by popularny pisarz rosyjski uwiecznił jego imię. Postanowił obdarzyć Gorkiego ilości królewskimi podarkami i zaszczytami, by w ten sposób wpłynąć na treść i wyznaczną przyszłej książki.

W ciągu krótkiego czasu Gorki dostąpił tylu zaszczytów, o jakich najwięksi pisarze świata nie mogli nawet marzyć. Stalin polecił nazwać imieniem Gorkiego duży ośrodek przemysłowy - Miast Nowogród. Odpowiednio całej miastynogrodzkiej obwod przemianowany został na gorkowski. Imię Gorkiego nadano Moskiewskiemu Teatrowi Artystycznemu, który został założony i syczał rozgłosz światowy dzięki Statiniawskiemu i Księżniczce Danconce, a nie Gorkiemu. Wszystkie te stalinowskie nadania i zaszczyty były obchodzone uroczysto na przyjęciach na Kremlu, na których Stalin wznosił toast za "wielkiego pisarza ziemi rosyjskiej" i "wiernego towarzysza partii bolszewików". Wydawało się, że Stalin chciał udowodnić pracownikom NKWD prawdziwość swojej tezy: "na każdego człowieka można znaleźć serce". Jednakże czas mijał, a Gorki wciąż nie rozpoczął książki o Stalinie. Śpędząc z tego, czym się zajmował i jakie sobie stawiał zadania, było dość nieprawdopodobne, by zasiadł do biografii Stalina.

Kiedyś, gdy siedział w gabinecie u Agranowa, wazał tam organizator słynnych komun kryminalistów, Pogrebński, z którym Gorki był szczególnie blisko. Z rozmowy wynikało jasno, że Pogrebński przed chwilą wrócił od Gorkiego z jego podmoskiewskiej wili. "Ktoś musiał popuścić całą sprawę - uzalał się Pogrebński. - Zaczynałem z Gorkim i od tej strony, i od tamtej, ale on wciąż unikał rozmowy o książce". Agranow zgodził się, że ktoś rzeczywiście "popuścił całą sprawę". Jak się okazało, Stalin i kierownicy NKWD po prostu nie docenili charakteru Gorkiego.

Gorki nie był człowiekiem tak nieskomplikowanym i naiwnym, jak im się wydawało. Bystrym wzrokiem pisarza stopniowo dostrzegał wszystko, co działo się w kraju. Znając dobrze naród, mógł czytać z ludzkich twarzy jak z otwartej książki, jakie uczucia przepełniają ludzi, co ich denerwuje i niepokoi. Oglądając w fabrykach wychudłe twarze niedojadających robotników, widząc z okna swojej salonki niekondyżące się transporty aresztowanych "kułaków", wyożnych na Syberię, Gorki dawno zrozumiał, że pod fałszywym szyldem stalinowskiego socjalizmu panował głód, niewola i władza silnej ręki.

Przed wszystkim nękała Gorkiego nasilająca się wciąż likwidacja starych bolszewików. Wielu z nich znał osobiście jeszcze z czasów przed rewolucją. W 1932 roku wyraził wobec Jagody swoje poważne wątpliwości w związku z aresztowaniem Kamieniewa, do którego odwołał się z pełnym szacunkiem. Zawiadomiony o tym Stalin kazał zwolnić Kamieniewa z więzienia i przenieść go z powrotem do Moskwy. Mógłby podać jeszcze kilka przypadków, kiedy to interwencja Gorkiego pomogła uchronić tego czy innego ze starych bolszewików przed więzieniem i zajątką. Pisarz nie mógł pogodzić

WŁADIMIR BUKOWSKI I GEORGE URBAN
NADZIEJA I ROZPACZ
SYSTEMU SOWIECKIEGO

Podaj publikujemy nieco skróconą drugą część rozmowy George'a Urbana - publicyści specjalizującego się w problemach bloku wschodniego, jak sam podkreśla, nie mającego nie wspólnego z Jerzym Urbanem - i Władimirem Bukowskim, dydaktem sowieckim wydającym w ZSRR w 1979 roku, autorem między innymi głodnej książki "I powraca wiatr...".

1. Wróg wewnątrz

URBAN: Wrođny do tematu "człowiek sowiecki" - określenie na brak odpowiedzialności i cynizm. Powiedziałeś w swojej książce, że każdy obywatel ZSRR daje schronienie "człowiekowi sowieckiemu w swojej duszy".

BUKOWSKI: Nie jest to jauno spręcynowany dyktemat; jest to dylemat sowiecki. Powól, że wyjaśnię, co mam na myśli.

URBAN: Aby zatonić w społeczeństwie...

BUKOWSKI: Tak, wprowadzamy człowieka do cell i mówimy mu, że nie ma z niej żadnej ucieczki - to przykładowa sytuacja.

Ważny pojęcie sowieckich "wyborów". Było to chyba w 1960 roku, kiedy zwołuleniście mnie z jednego z moich pobytów w więzieniu szliędo się z "wyborami".

Bedłesła sluchal tego cynicznego i placillwego bełkota, aż w końcu nie byłoś go w stanie znieść...

W tym konkretnym przypadku, powiedziałem moim agitatorom, że naprawdę nie mogę iść i głosować na rząd - jest to wbrew mojej naturze i przekonaniom.

URBAN: Czy powieściłbyś, że Orlowiek sowiecki jest specyficznie rosyjsko-sowieckim słowem, czy mógłby powstać w jakikolwiek innym państwie komunistycznym?

BUKOWSKI: Bez wątplenia tak. Orlowiek sowiecki nie jest wytworem rosyjskiej kultury, czy rosyjskiej rasę, jeśli do tego smierzasz.

URBAN: Niemniej jednak, wielu wybitnych historyków i obserwatorów Związku sowieckiego utrzymuje pogląd, że urodzony Orlowiek sowiecki jest, w pewnym stopniu, possessywnością poddaństwa.

BUKOWSKI: Nie sądzę, żeby tak było. Historycy to zwykle nędrzy ludzie, którzy uważają, że przeciętny człowiek jest świadomy przeszłości w równym stopniu jak oni.

URBAN: Czyś nie mógł on jednak odsledzić pewnych postaw kulturowych? Czyś, na przykład, postawstwo wobec władzy i akceptacja paternalizmu nie mogłyby być częścią jego dziedzictwa?

BUKOWSKI: W moim odczuciu są to elementy, które można znaleźć w każdej kulturze, i które można wyznalić w każdym ludzkiem umyśle.

Była to świadoma decyzja, ale wiskusióć iść nie chce podejmować takiego ryzyka. Zapewniają cię, że w warunkach sowieckich nigdy stałby się Orłowiekiem sowieckim, i jentem pewnie, że przeciętny Amerykanin stałby się nim o wiele szybciej od nas.

URBAN: Nie mogę się z tym ugodzić, ale podziwiam twoje przekonanie, że odmowa współpracy z systemem jest jedyną drogą, dzięki której przeciętny człowiek z ulicy może sobie zapewnić względną uciekwóć.

BUKOWSKI: Jest to dobry przykład. Leninizm i obędnosć są silnymi składnikami natury. Nie dostępnóć rzeczy jest o wiele łatwiej niż je dostać.

Najtrudniejszym chyba elementem dla ludzi przeciw sowieckizacji jest poczucie ambigüności, na które cię ona wystawia, jeśli się jej opieraś.

Dziś tego stajeś się ośmieszony? Albo wliem uważając, że walczasz z wiatrakami, ogłaszasz cię głupcem, czemu nie można się opierać co jest równie ważne, marnujesz ich czas, nie spróbując pokop wyśpójce na jakimś celu przeciw zarządzaniu, o którym wiesz...

Myszę, że możemy z tego wyciągnąć dość pewny wniosek, że sytuacja nasza jest teraz dobrze rozumiana przez Bożana, i gdyby niektóre z umocowań na pokładzie statku zowieckiego miały się rozluźnić, to nielibyśmy wystarczające poparcie, aby je wyrzucić.

2. Ocyszczenie ze zbrodni stalinizmu?

URBAN: Upokajająco brzmiałoby, że Kojane uważają się od niektórych wypadków obaw i budzi się narodowa świadomość, ale kiedy wystąpiła sprawa i powiedział, jak zrobił to Pasternak w swoim pamiętnym fragmencie o śmierci Marliny Gwiltajewej: "Miałe należy winik — nas, wszystkich nas"?

W książce "I powraca wiatr" przedstawia stanowcze dowody popierające założenie, że tylko odpowiedzialność jednostki może doprowadzić do odkupienia przez społeczeństwo zbrodnię współzbrodni. Dąży to, że w narodzie tradycyjnie pochłoniętym zbrodniami i karą, nikt jeszcze nie przysnął się otwarcie: "Ja to uczyniłem, wysłuchajcie mojej opowieści, i jeśli musicie, sądzicie mnie", lub nie wypowiedział innych słów o podobnej wymowie.

Gdzie się podział ci "sędziowie" — oskarżyciele publiczni, strażnicy więzienni, dręczyciele i kaci, męczyłki i kobiety, którzy wymierzali "sprawiedliwość administracyjną", donosiciele, denuncjatorzy, fałszywi świadkowie, te dziesiątki tysięcy sług Oczka, GPU, NKWD, MWD i teraz KGB, którzy stworzyli i zarządzali monstrualnym reżimem Gulagów i sągrodził Ukrainę, aż się poddała w latach trzydziestych? Dlaczego część z nich nie uciekła na Zachód, aby uspokoić sumienie? Dlaczego dopiero Solżenicyz zaczął zbierać dowody od ofiar i tych, co pracowali, ale nigdy, o ile wiem, od tych, którzy plawili się we krwi swych siomków?

Jest jeszcze inny, bardziej instytucjonalny aspekt sowieckiej odmiany "die unbewaltigte Vergangenheit" (pod jaką jest znana przeszłość nazistowska w Niemczech). Marksizm jest głęboką i historyczną analizą kolejącej dokonywał ludzkich. Twierdził, że nie w społeczeństwie nie może być zrozumiane bez wyjaśnienia wstecz na siebie, które to uformowały. Nie potrafisz zrozumieć, jak marksizm-bolszewizm w sowieckim weleniu ma nadzieję pozyskać zdrowe i akceptowane oblicze bez poddania

leninowsko-stalinowskiej przeszłości ostrej historycznej analizie; bez podawania nazwisk, karania odpowiedzialnych i publicznej rehabilitacji tych, którzy zostali zgładzeni.

W swoim przemówieniu na XX Zjeździe Partii Ochranców odważnie postawił pierwszy krok, i wykonał połowę roboty. Czy to nie Gorbaczow ma teraz ją dokończyć? — wszczęć serię "procesów zbrodni stalinowskich" dokładnie w imię lojalności wobec marksizmu? Aby być w porządku, od razu dodam, że Gorbaczow i jego poplecuszy dali niedawno do zrozumienia, że chcieliby widzieć przeszłość przeorganizowaną i rozliczoną. Czy jednak to zrobił? Czy mogą to zrobić? Zgodnie z twoim rozumieniem sowieckiej psychologii, byłoby to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Mówisz w swojej książce o potrzebie wstrząsającej "ocobnymi wymówkami, którymi usprawiedliwialiśmy współzbrodnię we wszystkich zbrodniach". Czyż nie łatwiej jest zmieścić instytucje, niż osady słych uczynków w umysłach ludzkich?

BUKOWSKI: Problem odpowiedzialności jednostkowej zawarty jest w cytowanej przez Ciebie wypowiedzi Pasternaka. Wielu ludzi

TOMASZ BURSKI

JESLI NIE MY

5-8 kwietnia odbyła się w Moskwie pierwsza część sympozjum filmowców i historyków "Historyczne kino: od tabu do głośności", zorganizowanego przez radzieckie i polskie stowarzyszenia filmowców. Skład uczestników był daleki od wszelkiej ofensywności — do Moskwy pojechali m.in. krytycy Andrzej Werner, Kazimierz Żorawski, historyk Andrzej Zakrzewski. Spotkanie to było kontynuowane 20-23 września w Warszawie.

Otwierając serię ze strony gości, wiceprezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich Julian Burski powiedział: "Po raz pierwszy przyjechaliny tutaj bez uzgadniania z kimkolwiek składu i tematów naszych wypowiedzi. Jesteśmy przekonani, że te umiemy, które w naszych krajach teraz się dokonują, po raz pierwszy stawiają taką sprawę, że możemy się w sposób autentyczny spotkać jako ludzie dobrej woli. Mamy po raz pierwszy szansę równości, partnerstwa i swobodnego porozumienia, które jest warunkiem dobrego sąsiedztwa i, chciałbym tak powiedzieć, sąsiedzkiej solidarności (...)

Mój ojciec był oficerem polskiego wojska. W 1919 roku był dowódcą obrony przeciwlotniczej Lwowa. 20 września został internowany przez wojska radzieckie. Ostatnią kartkę od niego z obozu jeńców otrzymałem 10 marca 1940 roku, datowaną w Starobelsku. Była to karta plansza drukowanymi literami, żeby 7-letniemu chłopcu łatwiej ją było przeczytać. W tym samym czasie mój brat, który działał jest profesorem geografii na uniwersytecie we Wrocławiu, przeżył śnię 40 roku w okolicach Archangielska, gdzie był osiedlony w pustoku, tylko dzięki temu, że ludzie tam urodzeni podzieleni się z nim obywatelami z ostatniego stemblika. To wszystko powiedziałem po to, żeby Państwo przyjęli do otwarcia, z jakim my tutaj dzisiaj przed Wami jesteśmy".

Sprawa oficerów polskich, czterech i pół tysiąca jeńców z Kostełka, rozstrzelanych w podmołodska im kate oraz dziesiątki tysięcy zginiłonych jeńców ze Starobelska i Ostaszkowa, swana umownie zbrodnią katyńską, stanowiła, rzecz jasna, jeden z głównych tematów wystąpień i rozmów.

Andrzej Werner: "Jak wiadomo, od wielu już miesięcy zbiera się, pracuje, polsko-radziecka komisja mieszana do rozpatrzenia białych plan, tych właśnie spraw, którym i my poświęcamy uwagę. Zbiera się — to właściwe słowo, bo zebrali tych było niewiele. Ogień przeszkadza jakas grypa lub katar. Czy pracuje — na ten temat i oficjalnie pojawiały się w nas ironiczne komentarze. Może pracuje, ale z pewnością bardzo opieszale. Ujawniono jedynie, że uszczególnie kontrowersja budzi sprawa zbrodni w Katyńsku.

Zatrzymajmy się przy niej. Z wielu względów jest ona uszczególnie ważna. Ważna nie tylko dlatego, że mord dokonany za tyśnięć walczych do niewoli polskich oficerów należał do czynów wyjątkowo przerażających i bestialskich. Również dlatego, że wiadomość o tej zbrodni odegrała ważną, choć bardzo dwuznaczną i gorzką dla Polaków rolę w stosunkach między aliantami podczas II wojny światowej. Roosevelt i Churchill, a także zachodnia opinia publiczna, woleli wierzyć kłamliwym zapewnieniom Stalina i w efekcie Katyń stał się powodem ochłodzenia stosunków między rządami polskimi a zachodnimi mocarstwami i pretekstem dla Stalina do zerwania stosunków dyplomatycznych z polskim rządem. A więc — pośrednio — wpłynął na tragiczny los wielu tysięcy Polaków w Związku Radzieckim. Później — także i w Janki — nikt o tym nie chciał pamiętać. Ten przykład historycznej ironii jest litojnym akcentem

świadomości zbiorowej Polaków.

Przed wszystkim jednak zbrodnia katyńska jest tak ważna, zapewne najważniejszą z białych plan, ponieważ jest faktem tak dobrze, tak powszechnie ananym w Polsce. Im bardziej starano się ją przemilczeć lub zakłamać, tym bardziej stawała się symbolem całego obzaru ponurych doświadczeń historycznych, o których tutaj mówimy. Symbolem wzgardzonej, skazywanej na zapomnienie martyrologii narodu.

Dlatego o Katyńsku trzeba powiedzieć całą prawdę — bez żadnych przesłonek i retykuszów!

Po pierwsze dlatego, że tak było. że jest to nasz moralny obowiązek wobec prawdy i wobec ofiar. Ten punkt jest wspólny dla wszystkich białych plan i nie wymaga żadnych uzasadnień.

Po drugie dlatego, że publiczne ogłoszenie tej prawdy stało się warunkiem przełamania uknufości. Oficjalna komisja powinna jak najrybniej ogłosić rzetelne informacje w tej i wszystkich będących w jej gestii sprawach. Otworzyć archiwa. To bardzo ważne. Przed podobnymi krokami wstrzymywano się do tej pory pod pretekstem, że wzbudzi one mogą w Polsce nastroje antyradyckie. Przynajmniej się do badur, podobna jednak klasa badura osłaga nie czepa. Mogłoby to wzbudzić nastroje antystalinowskie — przy bardzo aserokim rozumieniu pojęcia stalinizmu — gdyby widzkie wzbudzenie było w ogóle możliwe. Czyż ludzie w Polsce nie wiedzą, że choć grób katyński jest im bliższy, to grobów z ofiarami Stalina, Jefowa, Berli i ich podopiecznych jest w Związku Radzieckim tak wiele? Czy nie wiedzą, kto w nich leży? Kto cierpił z powodu tych rządów najbardziej? I śmierci, i głód, niewolę i poniżenie?

czuło i czuje się tak jak Pasternak, ale nieważa z nich ma odwagę to powiedzieć. System u siebie zliczenie. Cierpieć współdziałal jako mniejsze się. Trzeba być bohaterem o niepowważało wysokim stopniu świadomości, aby wafnąć i powiedzieć: "Tak, świadomości doskonale o strasznych, deportacjach... Tak, przymykalimy oczy, aby nie czuć się odpowiedzialni." I potem srozić asytkany za "walkę z wiatrakami" od tych samych ludzi, których prawa chcesz chronić ryzykując życie. To trochę za dużo, nawet dla odważnego człowieka. Kiedy podczas przesłuchania straszą cię: "Nie bądź głupi i rób to, co inni!" to mogą w ten sposób wzmożenie twój opór; ale jeśli to samo usłyszasz od ludzi, których znasz i zawsze lubiłeś, to masz ochotę, czując pogardę, zrezygnować.

Jeśli chcesz skłonić ludzi sowieckich do ujawnienia ich lepszego "ja" i przyjęcia odpowiedzialności, to musisz zmienił całkowicie warunki ich życia. Aby mówić prawdę, muszą czuć się bezpieczni. Możliwe, że warunki te powoli zmieniają się za Gorbaczowa. Za wszelką cenę, by o tym mówić, ale jeśli tak się dzieje, to ludzie z pewnością wyślą i uczynią dokładnie to, czego — jak sugerowałeś — się od nich oczekuje. Niektórzy pisarze zrobili

to już na emigracji. Tacy jak Lew Kopelew przyznali się otwarcie. "Moje ręce są skrwawione" — jednocześnie stwierdza w swojej autobiografii. Później on i tym, jak ślepo weszli i współpracowali, i jak wolno i boleśnie wypędzali z siebie obłudę, aby odzyskać miarę oszczędności dla samego siebie. To, co wydał się sugerować, ma jednak znacznie szersze znaczenie. Chciałby, aby Związek sowiecki oczyścił się przez akt zbiorowej pokuty, i nie myślał się. Domaga się tego Solżenitsyn, ja również sądzę, że to konieczne. Społeczeństwo sowieckie musi powrócić do lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych, by odzyskać zdrowie ery Stalina... Jeśli chcemy naprawdę zgłębić stalinizm, to musimy mu przywrócić życie. Jeśli tego nie zrobimy, i to szybko, to społeczeństwo sowiecko-rosyjskie nigdy nie będzie w stanie znaleźć z siebie pełną zbiorową odpowiedzialność. Istnieje różne drogi aby to osiągnąć. Solżenitsyn chce tego dokonać operując się na religii, moje raczej są świeckie; ale obaj chcemy tego samego.

URBAN: Ak zgodzisz się, że najważniejszą muszę zostać ujawnione, procesy wasze, a poszczególne osoby, czy nawet grupy ludzi, zrehabilitowane?

BUKOWSKI: Naturalnie. Tego właśnie oczekiwałem od Gorbaczowa, po tym, jak dokonał przełomu swoim przemówieniem na XX Zjeździe Partii. Ale nie zrobił tego. Okazało się, że użył destalinizacji tylko jako narzędzia do swojego dojścia do władzy. Nie nawiązał do ideologicznych i instytucjonalnych korzeni stalinizmu, nie ukarał winnych (z wyjątkiem ludzi Berli, a było to częścią walki o władzę), i w konsekwencji widmo stalinizmu nigdy nie przestało straszyć w ZSRR. Co więcej, będąc już w siodle, Gorbaczow zaczęł do stworzenia jego kultu na miejsce kultu Stalina, i za to został skłenawidzony i wyśmiany. Udowodnił tym słuszność uwagi Marksa, że rzeczy zwykle zdarzają się dwa razy w historii — za pierwszym razem jako tragedia, a za drugim jako farsa.



— TO KTO —

Zeby przeciąć ten wrzód trzeba jednak prosto powiedzieć: to nie my. To nie my, bo nie chcemy z nich milczeć i kłamać. Prawda jest pierwowym warunkiem dowodu.

Obok oficjalnych oświadczeń jest jednak coś innego, zapewne ważniejszego, bardziej autentycznego. To kontakty między ludźmi, dialog — jak nasze tutaj spotkanie. To osobiste odczucia i ich wyraz w kulturze.

Niedawno napłynął został i następnie podpisany przez kilkudziesięciu wybitnych polskich intelektualistów i twórców kultury list w tej sprawie adresowany listownie do ich kolegów w Związku Radzieckim. List apelujący o prawdę w linii przelazach podobnych tym, które tutaj przedstawiłem. Co dość naturalnie — został on przedrukowany w "Trybunał Ludu" choć — jak można się domyślać — z niezbyt przyjaznym komentarzem. List ten kończy pytaniem: "Jeśli nie my, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?"

Były wazak — w trudniejszych latach — i pod tym względem precedensy. Pamiętam na przykład piękny wiersz Bulata Okudźłowa o żołniersu, który śpi pod ziemią w katyńskim lesie. Wprawdzie interwencja cenzury spowodowała zmianę tekstu katyńskiego na rogatywkę — ale i w tej postaci wiersz był krytyczny. A i później — jak Państwo widzą — przechowała się. Wielkie wrażenie zrobił i duże nadzieje wzbudził wywiad udzielony przez profesora Jurija Afanasjewa "Polityce", mówiący po raz pierwszy tak otwarcie między innymi właśnie o Katyniu. Ten prosty gest więcej zrobił niż wszystkie oficjalne akademia. I nie małej dobrego — dla opinii o tym, co dzieje się obecnie w naszym kraju.

Natan Ejdelman — historyk, znaczący postać głośności: "Bardzo mi się podobało, że

pan Juliusz Burski zaczął od wspomnień osobistych. Ja także chciałbym od nich zacząć. (...) Mój ojciec spędził kilka lat w łagrach. W styczniu 1968 roku w obozie koło Workuty stał z innymi więźniami w szeregu. Podszedł do nich pijany starszyzna i powiedział: 'szybko was wszystkich wykończymy... Ja już tymi rękami popracowałem w Katyniu'. Dodam, że rychło go stamtąd zabrali. (...)

Materiał archiwalny wyjaśnia dodatkowe szczegóły, lecz nie zmieniają one istoty rzeczy. Myślę, że odnosi się to także do historii Katynia, która znana jest nie z archiwów, lecz ze świadectw wielu ludzi. Wiele faktów znanych jest już dziś i byłoby niesłuszną sprząć się o to, co stało się w Katyniu. Uspokajajcie się tylko szczegóły. Lecz nie wolno mówić: nie pomagajcie nam. Bardzo trafnie pyta się — jeśli nie teraz, to kiedy? A nam się powładać nie teraz.

Wiera Michutina — historyk, moskiewski Instytut Słowiańszczyzn: "Sądzę, że dla historyków i działaczy kultury, konkretne fakty historyczne, o których tu mówiono i które wzbudziły duże emocje — nie stanowią problemu. Katyń, represje stalinowskie, rok 1989, to nie są problemy. W tych sprawach zapadły już decyzje. To jest kwestia prestiżu Związku Radzieckiego. Powołano odpowiedzialne organy i instytucje do przedłożenia materiałów, w oparciu o które można by przedstawić rzeczywisty obraz historii.

Dla nas istnieje teraz inny problem — trzeba zastanowić się, jak mogło do tego dojść? Nie chodzi o to, by konstatować: był stalinizm i jego strasznymi następstwami, to bowiem jest dostatecznie jasne. Wydaje mi się, że naszym zadaniem i celem na dziś jest nie tyle mówienie o Stalinie i okropnościach stalinizmu, ile wywołanie następującej reakcji: stalinizm i my, stalinizm i społeczeństwo. Myślę, że

problem polega nie na pytaniu, jaki był Stalin, lecz na zrozumieniu stosunków społecznych i klimatu, w którym mogła się sprościć autorytarna dyktatura.

Irena Rubanowa — krytyk słowny: "Spotkałmy się tutaj, żeby otworzyć drogę do wzajemnego porozumienia. Wydaje mi się, że ta droga nie zaczyna się od informacji: kto zamordował więźniów w Katyniu. Przecież i tak wiadomo, kto to zrobił. I co by nie mówili historycy, oni też przeleli krew. I wy wiecie, i my wiemy. Również dotychczas wiemy, co zrobili 17 września — czwartego września Polki. Porozumienie zaczyna się od momentu, kiedy zrozumimy, gdzie nasz dialog może być owocny, w jaki sposób może doprowadzić do realnego dialogu, gdzie zacząć mieć jakiś wpływ na cokolwiek".

Również historycy Waleriina Farsadanowa — członek polsko-radzieckiej komisji miedzianej do rozpatrzenia białych plam i Anatolij Łatysew — kierownik wydziału polityki światowej moskiewskiej wyższej szkoły partyjnej w swoich wypowiedziach nie odwołali się ani razu do obowiązującego przecież po dziś dzień oficjalnego radzieckiego "Komunikatu Komisji Specjalnej do ustalenia i zbadania okoliczności konstruowania przez niemieckich najęźdźców fałszywych w lesie katyńskim jeńców wojennych — oficerów polskich" z 24 stycznia 1944 roku. Farsadanowa, powołując się na braki w archiwach, próbowała usprawiedliwić powolne tempo pracy polsko-radzieckiej komisji, a Łatysew pytał: "Czy zwrócić uwagę, że w sprawie Katynia ukazywał się u nas ostatnio dwie publikacje — w 'Prawdzie' i 'Literaturnoj Gazecie'? W publikacjach tych nie mówi się, kto jest winien rozstrzelank, a jedynie wskazuje się na konieczność zbadania tego problemu".

DLACZEGO JESTEŚMY NIEWOLNIKAMI ?

Kraj niewolników — mówił o Rosji Lermontow. Niewolnicy, wszyscy — od ascytów po dół — niewolnicy, mówił o narodzie rosyjskim Czernyszewski. Ozy cod się od tych czasów w Rosji zmieniło? Tak, zmieniło się: nowa forma niewolnictwa zastąpiła starą. My jednak pozostajemy wciąż niewolnikami. Co jest przyczyną naszego niewolnictwa, co warunkuje nasz niewolniczy stan i niewolniczą psychologię? Dlaczego — bez względu na wszystko — pozostajemy niewolnikami?

Odpowiedź na pytanie pierwsze jest oczywista. Przypisał do mniejsza pracy i mniejsza samostanku, ograniczył we wszystkich ważnych sferach i potrzebach życia, jesteśmy karani za choćby najmniejsze próby swobodnego, niezależnego postępowania czy nawet myślenia.

O wiele trudniej jest odpowiedzieć trafnie i uściwle na pytanie drugie. Trudność stanowiła też same czynniki psychologiczne, które czynią nas niewolnikami. Znane są dwie odpowiedzi na tę kwestię. Jedną jest apologetyczna, druga — krytyczna. Pierwsza wyklada się następująco:

Oczywista, że w społeczeństwie komunistycznym ludzie są jakoby ograniczani w myśleniu i postępowaniu, ale są to ograniczenia racjonalne, podyktowane interesami kolektywów, do których ci ludzie należą, oraz interesami całego społeczeństwa. Bez tych ograniczeń społeczeństwo ogarnęłoby anarchia, a po niej chaos, rozkład i upadek. Drugą odpowiedzią (krytyczną) jest taka: pewna część społeczeństwa zdobyła władzę nad resztą i przemocą nad nią panuje. Obie odpowiedzi są prawdziwe, ale w każdej widoczna się tylko jeden aspekt sprawy, obie zaś razem też nie dają całej prawdy. W ich cieniu pozostaje bowiem jeszcze jedna, być może najważniejsza część prawdy — to, że system niewolniczy przyjmujemy dobrowolnie.

Dlatego właśnie kwestia "Dlaczego jesteśmy niewolnikami?" jest w gruncie rzeczy kwestią: "Dlaczego wolimy być niewolnikami?"

Każda epoka zadawała te kwestie po swojemu. Dla naszego współczesnego niewolnictwa komunistycznego uzasadnieniem jest w ogólności nader banalne. Wolimy być niewolnikami dlatego, że w komunizmie widzimy nie tyle nieuchronność, przemoc i morderstwo, ile pokusę, kuszącą do władzenia.

Komunizm jest pokusą i próbą nie tylko w dziedzinie teorii czy w kręgach propagandy, ale i w swojej rzeczywistości. I to jest...

... i komunistów twierdzą, że jest to najlepsza droga do dobra mas, mówią: "Kto nie chce być przeciwnikiem, ten poddaje się i motorem tego ruchu jest właśnie pokusa, popędzanie. Komunizm to zadołowanie najpierw żądaniom cięży i niewolę, a dopiero potem zwycięża obciążenia i zniewala. Niezależnie od siebie jakże wyzwolenie jednym, drugim zaś niejako zniewolenie. A nie jest to tak, że ludzie widzą uspięrowe wyzwolenie, które wydaje się im absolutne. Dopiero później racjonalnie odczuwają zniewolenie, lecz wtedy udaje się im ono czynić naturalnym i w pełni zrozumiałym.

Społeczeństwo, w którym żyjemy, nie jest czymś odwiecznym i stałym. Jest ono wynikiem procesu historycznego, w którym ścierały się i ścierają dwie tendencje: cywilizatorska i komunistyczna (albo komunistyczna). Tendencja pierwsza to parcie pewnej niewielkiej części

ludkości w górę, to dążenie pod prąd ludzkiego żywiołu, pokonywanie oporu, jaki stawia środowisko przyrodnicze i społeczne. Tendencja druga to osuwanie się ludzkiej większości w dół, podążanie z prądem jej żywiołu, ruch po linii najmniejszego oporu. Pierwsza jest przeciwieństwem drugiej, jest ograniczeniem jej żywiołowych sił, jest dążeniem do podnieślenia poziomu społecznej organizacji ludzi. Jej podstawy tworzą: praca, osobiste ryzyko, osobista inicjatywa i osobista odpowiedzialność za czynny, samoograniczenie, dyktowane przez świadomość moralno-prawną oraz inne wartości cywilizacji.

Ustrój społeczny, który z tej tendencji wyrósł i który ją zarazem podtrzymuje, srodkiem dobra współczesnej cywilizacji oraz — nieoserwalnie z nim związane — jej plagą i achillesa. Ludzie jednakże w wyborach swojej przyszłości temu ustrójowi nie tylko racjonalnie jego niedostatki, lecz i wszelkie sio, jakie niosła i niesie z sobą tendencja komunistyczna i któremu przeciwstawiali się w pierwszym rzędzie system wyrosły z tendencji cywilizatorskiej. Umyślnie i sercem ludzkiem świadomie przekonanie, że przyczyną wszelkiego zła na świecie jest właśnie ten ustrój społeczny, który owe dobra cywilizacyjne wytworzył, i że gdy on zostanie zniszczony, ustanie wszelkie negatywne zjawiska dzisiejszego życia społecznego. I właśnie w tym przekonaniu, a nie w twórczym dążeniu ujrzał ludzie drogę do szczęśliwej przyszłości.

Tak oto tendencja komunistyczna zwyciężyła na znacznej części naszej planety. Przysły iluzje powazecznego raju na ziemi. Okazało się, że życie komunistyczne trapi plagą nie mniej dotkliwą, a czasem jeszcze większą niż dawniej. I co? Ozy smutaki w świecie elegoty do komunizmu? Wręcz przeciwnie: niepomnieńce warowały. Dlaczego? A dlatego, że realny komunizm, choć nie przynosił powszechnego dobrobytu i nie usunął wszystkich bolączek, w jakimś stopniu złodził wielką, odwieczną pokusę życia w stadzie, życia wolnego od monotonnej pracy, od ciągłego samograniczenia się, życia bez trosk, ryzyka i osobistej odpowiedzialności za własne czyny, życia apłycznego, ale z gwarancją zaspokojenia elementarnych potrzeb bytowych. Owa pokusę komunizm złodził tylko w niewielkiej części. Wystarczyło to jednak do tego, by inicjatywę społeczną i władzę nagarnęli zwolennicy takiego właśnie stylu życia. Ludzie zdumiewająco szybko przystosowali się do nowego porządku, pogodzili się z jego warunkami i uświadomili sobie jego sułety. Ulegli awym żywiołowym popędom, uwolnili się od napięć, w jakie wpędzał ich poprzedni system i odetchnęli. Wyrzucenie się walki, rezygnacja z pęcia się wwyż i dążenia pod prąd ludzkie odczuwają przede wszystkim jako ulgę. Spadające wydaje im się przez jakiś czas lotem. Nie myślą, co będzie później, nie przypuszczają, że po owej uldze przychodzić wszystkim stałe atrybuty niewolnictwa: władzkie niewolników, nadzorce, niepazce. Kiedy ludzie to spostrzegają, jest już za późno. Są już pod panowaniem wszystkich sił, albowiem to w sobie noszą wszystkie owe atrybuty niewolnictwa. Nasze niewolnictwo jest więc naszą dobrowolną sapłatą za niezapłacaną i krótkotrwałą ulgę w dążeniu ciężarów tendencji cywilizatorskiej.

Dążąc do niewolnictwa odsuwa się i tym, że w porównaniu z poprzedzającym je systemem zwycięża niebywale lebscy ludzi oddanych oficjalną władzą nad innymi — prawie każdy szeregowy członek społeczeństwa otrzymuje drobnik rzeczywistej władzy nad bliźnimi. Nowe społeczeństwo zwycięża bezprzekładnie quantum władzy, by obdlać się miliony awych szeregowych członków. Obdlała wprowadzić według takich samych zasad, jakie stosuje przy rozdzielaniu wszelkich innych dóbr ludzemu wady, by powyci społeczną, ale przecięt — obdlała. Nasze niewolnictwo charakteryzuje się tym, że statum niewolnika kompensuje sobie każdy możliwość. Tu zamiast wolności oferuje się człowiekowi możliwość odbierania wolności drugimi, a więc — udział w niewolaniu. Zamiast dążyć do bycia wolnym, dąży do posiadzenia innych dążenia do wolności — taką oto jej namiastkę proponuje się obywatelom. To jest o wiele łatwiejsze niż walka o to, żeby nie być niewolnikiem. Namiastka wolności daje efekty satysfakcyjne i dla wszystkich dostępalne. Efekty walki o wolność racjonalną ludzkie mogą odczuć dopiero po wielu pokoleniach, a i to tylko niewielu.

Jednym słowem: być niewolnikiem to dla nas wygoda. Być niewolnikiem — to nieporównanie łatwiejsze i prostsze, niż alim nie być. Jedną drugą sadzącą gwałt. Wspólnymi siłami czynnymi innymi siebie zwoim niewolnikami, a dzięki temu stajemy się niewolnikami innych. Z tego właśnie, przede wszystkim z tego, a nie z senną przemocą i nie z praw społecznymi, wyrastają przyczyny naszego niewolnictwa. Prawom obiektywnym i senną przemocą ulegamy dlatego, że wolimy taki styl życia, który czyni nas niewolnikami. Na tym polega potworność naszej sytuacji. Można walczyć z przemocą senną. Można ograniczać oddziaływanie obiektywnych sił przyrody i społeczeństwa. Ale walczyć ze sobą, walczyć skutecznie — to zadanie niekończące trudne nawet dla bogów. A my tylko ludźmi jesteśmy.

To jednak byłoby jeszcze pół biedy — przywykliłby być niewolnikami. Niezależnie polega na tym, że swoje niewolnictwo nieślemy innym. Nieślemy je pod zastawami wolności. Osiągamy swój cel. I w ten sposób pozabawiani się wszelkiej nadziei na wyzwolenie. Gdy wszyscy są niewolnikami, pojęcie niewolnictwa traci sens.

Hum. Jan Wł.

LOTWA RUCIENI
FRANCISZUKI
Millet 200
Whitman 1000
DLP Whitmanowi ka
500
GPW Whitmanowi ka
500